

MAGAZYN *razem z dodatkami*

Polska w epoce AI. Największa szansa leży w budowaniu własnych rozwiązań
● Kulisy pracy kontrolera ruchu lotniczego ● Julia Pietrucha: Moje aktorskie mechanizmy dopiero się rozgrzewają
PLUS TELEMAGAZYN z programem TV oraz omówieniami seriali i propozycji filmowych



GAZETA LUBUSKA

Piątek,
27.02.2026

www.gazetalubuska.pl

Nr 48 (22.649)
Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)



Zgaduj zgadula

Pojedzie czy nie? Jarosław Miłkowski regularnie dokumentuje na naszych łamach, że pociągi w Lubuskiem jeżdżą jak chcą. Teraz postanowił odbyć podróż szynobusem i porozmawiać z ludźmi o tym, jak wygląda ich codzienna mordęga **str. 12-13**

Nr ISSN 0137-9518

Nr indeksu 350-222



Po powrocie ciągle słyszałem wybuchy. Rozmowa z Konradem Makarewiczem **str. 8-9**

„Każdy ma jakiegoś bzika...” czyli nowy cykl artykułów „GL” **str. 10-11**

Gorzowianie nie gęsi i swoje tradycje winiarskie mają **str. 14**

Jak John Lennon kilkoma słowami wywołał globalny skandal **str. 22**

TYDZIEŃ Z GAZETĄ LUBUSKĄ

JUTRO

● przy SOBOCIE
tłumaczy, radzi, bawi...

PONIEDZIAŁEK

● DODATEK SPORTOWY
Wyniki, tabele i analizy

WTOREK

● PULS BIZNESU
Przepisy prawne, opinie

ŚRODA

● MAGAZYN ZDROWIE
Jak zadbać o siebie i bliskich

CZWARTEK

● POD PARAGRAFEM
Historie kryminalne

PIĄTEK

● PULS POLSKI
Reportaże i publicystyka

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 68 381 70 52, bok.prenumerata@polskapress.pl, prenumerata@gazetalubuska.pl

Janusz Michalczyk

KOCHANKA LEPSZA
NIŻ ZBOCZENIEC

Bill Gates zwołał zebranie z pracownikami swojej, obracającej setkami milionów dolarów fundacji, by zaprzeczyć bliskim relacjom z Jeffreyem Epsteinem. Aby się uwiarygodnić w oczach współpracowników i opinii publicznej, Bill przyznał się do dwóch kochanek-Rosjanek. Jedną z nich to mistrzyni brydża, druga - fizyczka jądrowa. To miara desperacji jednego z najbardziej wpływowych ludzi na świecie i zarazem dobry wyznacznik skandalu, wywołanego ujawnieniem sieci powiązań stręczyciela.

Ponieważ Epstein dokumentował swoje kontakty, dziś ta korespondencja obnaża bez troskę i cynizm najbardziej znanych postaci ze świata polityki czy biznesu, i to wszelkiej maści. Wystarczy wspomnieć guru lewicy - Noama Chomsky'ego, który bez zęby korzystał z prywatnego samolotu Epsteina. Z kolei strateg amerykańskiej prawicy - Steve Bannon - próbował wykorzystać jego wpływy do skompromitowania papieża Franciszka, uchodzącego w pewnych kręgach za lewaka.

Ludzie nauki też bezkrytycznie poddawali się urokowi Jeffreya. Pieniądze od niego przyjmował m.in. Harvard, najbardziej prestiżowa uczelnia. Dzięki tym dotacjom wybitny naukowiec Martin Nowak rozwijał Program Dynamiki Ewolucyjnej (badania nad rakiem i wirusami). Epstein finansował również m.in. badania nad sztuczną inteligencją, więc swobodnie obracał się w kręgu takich postaci, jak Elon Musk.

Połączenie inteligencji, pieniędzy i charyzmy stworzyło potwora, który owijał sobie wokół palca najbardziej błyskotliwych ludzi, bo potrafił rozpoznać i wykorzystać ich słabości. Oczywiście, nie wszystkich. Przykładem osoby, która oparła się wdziękowi Jeffreya, może być Sam Harris, filozof i neuronaukowiec. Opowiada, że uczestniczył w spotkaniu towarzyskim, jakie zorganizował Epstein, lecz uznał go za dupka, bo ten prowadził konwersację, posadziwszy sobie na kolanach bardzo młodą kobietę.

Nie jestem zwolennikiem teorii spiskowych, nie analizuję mrocznych zakamarków psychiki, ale szczerze raduję mnie ujawnienie kontaktów Epsteina z elitami. Uważam, że to świetna szczepionka na medialne manipulacje i stereotypowe myślenie. Ktoś jest bystry, mądry, zabawny, stoi na szczycie drabiny społecznej? To jeszcze nie znaczy, że jest porządnym człowiekiem.

”

Spędzanie czasu z Epsteinem było ogromnym błędem. Przepraszam wszystkich innych, którzy są w to wciągnięci przez ten błąd

Billy Gates, miliarder

Trwa sezon lęgowy bielików.
W regionie jest ich coraz więcejSandra Soczewa
PAP

- Od przelomu stycznia i lutego trwa sezon lęgowy bielika. Kończą się toki i niebawem samice złożą jaja. W Lubuskim gniazduje ponad 120 par tego największego w naszym kraju ptaka drapieżnego - informuje regionalny konserwator przyrody w Gorzowie, Michał Bielewicz.

- Samica bielika najczęściej składa jedno lub dwa jaja, a w sprzyjających warunkach nawet trzy. Ptaki rozpoczęły już remonty swoich gniazd, co oznacza, że pierwsze pary w najbliższych dniach zaczną składać jaja i je wysiadywać - wyjaśnia Bielewicz.

Bieliki to największe ptaki szponiaste występujące w Polsce, a zarazem jedno z najwcześniej przystępujących do lęgów. Długi okres inkubacji jaj oraz wychowywania piskląt - trwający aż do końca sierpnia - sprawia, że muszą wcześniej rozpocząć sezon lęgowy. Odchowanie młodych to duże wyzwanie dla dorosłych ptaków, które muszą zapewnić potomstwu odpowiednią ilość pokarmu.

Jak przystało na króla naszych ptaków drapieżnych, również jego gniazda robią ogromne wrażenie. Te użytkowane przez wiele lat mogą mieć nawet 4 metry wysokości i 2,5 metra średnicy, osiągając wagę



FOT. MICHAŁ BIELEWICZ

ponad tony. Na miejsca lęgowe wybierane są potężne drzewa, najczęściej w wieku powyżej 120 lat, które gwarantują stabilność ciężkiej konstrukcji.

- Bieliki są zapobiegliwe i zazwyczaj mają gniazda zapasowe. Gdyby to zajmowane przez nie uległo zniszczeniu, mogą szybko przenieść się do innego. Budowa nowego gniazda zajęłaby zbyt dużo czasu, a sezon lęgowy byłby stracony - wyjaśnia dr Paweł Czechowski z Uniwersytetu Zielonogórskiego.

Imponujące są nie tylko gniazda, ale również rozmiary rewirów lęgowych. Mogą one obejmować od 60 do nawet 300 kilometrów kwadratowych.

W województwie lubuskim gniazduje ponad 120 par tych

majestatycznych ptaków - pięciokrotnie więcej niż w latach 80. ubiegłego wieku. Z każdym rokiem ich liczba rośnie. W 2017 roku było ich 40, a dwa lata temu już ponad 100. Populacja bielika odradza się w całym kraju. Jeszcze w latach 80. i na początku 90. XX wieku w Polsce było zaledwie około 250 par bielików. Dziś ich liczba sięga 1,5 tysiąca.

- To trzecia co do wielkości populacja w Europie - zaznacza Bielewicz.

- Bieliki znalazły się na krawędzi wyginięcia z winy człowieka - podkreśla dr Czechowski. - Do lat 70. były zabijane, a ich miejsca lęgowe nie były chronione. To wrażliwe ptaki - spłoszone przez ludzi mogą porzucić lęgi.

Dlatego obecnie chroni się nie tylko same ptaki, ale także ich miejsca lęgowe. Do gniazd nie wolno zbliżać się przez cały rok. W sezonie lęgowym zakaz obejmuje obszar o promieniu kilkuset metrów.

W Lubuskim bieliki można zaobserwować w dolinach dużych rzek oraz w pobliżu kompleksów stawów rybnych i jezior, gdzie polują na ptactwo wodne i ryby.

- Najlepszym miejscem do obserwacji bielika jest Park Narodowy „Ujście Warty”, gdzie jest ich dużo. Podczas jednej wycieczki możemy zobaczyć nawet kilkanaście, a czasem kilkadziesiąt młodych ptaków. Bielik dojrzuje w piątym, szóstym roku życia, dlatego przez kilka lat młode osobniki koczują w pobliżu wody - mówi dr Czechowski. - Można je spotkać także nad Odrą oraz np. przy zbiornikach wodnych elektrowni w Dychowie.

Samice bielika ważą nawet 6 kg, a rozpiętość ich skrzydeł dochodzi do 2,5 metra. Samce są nieznacznie mniejsze. Mogą dożyć nawet 30 lat. W pary łączą się na całe życie, a nowego partnera szukają dopiero po śmierci poprzedniego.

Podobnie jak inne ptaki drapieżne, bielik odgrywa istotną rolę ekologiczną - polując na chore i słabsze osobniki, pełni funkcję „sanitarną” w środowisku. Nie gardzi także padliną.

Kolejny krok do budowy Centrum Onkologii

(b)
Zielona Góra

Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, za trzy lata w Zielonej Górze zostanie otwarte nowoczesne centrum leczenia chorób nowotworowych. Inwestycja zyskała akceptację rządu.

Uchwała Rada Ministrów formalnie zatwierdziła budowę Lubuskiego Uniwersyteckiego Centrum Onkologii i nadała jej oficjalny bieg. To kolejny krok po ogłoszonej w październiku ubiegłego roku decyzji Minister-



FOT. MATERIAŁY UM I SZPITALA UNIWERS.

stwa Zdrowia. Z rządowego dokumentu wynika, że inwestycja rozpocznie się w tym roku. Jeżeli wszystkie prace będą przebiegać zgodnie z harmonogramem, za nieco ponad trzy lata przy ul.

Wazów i Waryńskiego, za budynkiem Polikliniki, stanie nowoczesny obiekt o łącznej powierzchni blisko 20 tys. metrów kwadratowych. Pacjenci zyskają dostęp do tak potrzebnego w na-

szym regionie nowoczesnego ośrodka leczenia nowotworów.

Szacowany koszt realizacji inwestycji to około 300 mln zł. Największą część tej kwoty - 233,5 mln zł - przeznaczy na ten cel Ministerstwo Zdrowia. Po 30 milionów złotych dołożą samorząd województwa lubuskiego oraz Miasto Zielona Góra.

W nowym Centrum pacjenci onkologiczni otrzymają kompleksową opiekę. Przewidziano oddziały chirurgii onkologicznej i chirurgii klatki piersiowej, hematologię oraz urologię, blok operacyjny i zakład medycyny nuklearnej.



RÓBMY WIĘCEJ DLA MŁODYCH MISTRZÓW

Dołącz do programu
sportowyorlen.pl

KRÓTKO

ŻARY

Pieszy nie ma szans

25-latek w miejscowości Dąbrowiec poruszał się z prędkością 107 km/h pomimo tego, że obowiązuje tu ograniczenie do 50 km/h. Mężczyźnię zostało zatrzymane prawo jazdy na trzy miesiące, a dodatkowo musi zapłacić grzywnę w wysokości 1500 złotych. Jego konto zasilili również dodatkowe 13 punktów karnych.

Przy prędkości ponad 100 km/h droga hamowania to ponad 30 metrów, przy założeniu, że hamujemy na nawierzchni suchej.

- Nadmierna prędkość to przede wszystkim ograniczone możliwości zapanowania nad pojazdem w sytuacjach nagłych - przekazuje mł. aspirant Żaneta Kumoś z KPP w Żarach.

ŚWIEBODZIN

Odzyskali auto warte 190 tys. zł

Sprawa miała swój początek w listopadzie 2025 roku, kiedy właściciel Mercedesa busa zgłosił jego kradzież. Policjanci po przyjęciu zgłoszenia zabezpieczyli monitoring oraz przeanalizowali możliwe kierunki przemieszczania się skradzionego samochodu. W końcu nastąpił przełom. Mundurowi ustalili miejsce, w którym może

znajdować się pojazd. Samochód został odnaleziony na terenie jednej z posesji w sąsiednim powiecie. Policjanci zatrzymali 33-latkę. Mężczyzna był poszukiwany na podstawie Europejskiego Nakazu Aresztowania wydanego za kradzież samochodów na terenie Niemiec. Teraz trafił na trzy miesiące do aresztu.

Inauguracja „Miesiąca kobiet” oraz dzieła Mozarta i Ravela

Jarosław Wnorowski
jwnorowski@gazetalubuska.pl

Dwa światy muzyczne reprezentowane przez muzykę Mozarta i Ravela będziemy mogli porównać w Gorzowie, zaś w Zielonej Górze odbędzie się mocno kobiecy koncert kameralny.

Dziś o godz. 19, w Filharmonii Gorzowskiej, podczas koncertu „Czarodziejskie światy” jako solista, na fortepianie zagra Hubert Rutkowski. To absolwent Akademii Muzycznej w Warszawie, który w 2007 roku wygrał Międzynarodowy Konkurs Chopinowski w Hanowerze. Otrzymał również wyróżnienie „Medalla per Unanimitat” na Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym Marii Canals w Barcelonie. W kwietniu 2010 roku wygrał konkurs na stanowisko profesora Hochschule für Musik und Theater w Hamburgu, jako jeden z najmłodszych profesorów w Niemczech. Od tego czasu prowadzi własną klasę fortepianu. W jego interpretacji wysłuchamy Kon-



W Gorzowie Hubert Rutkowski wykona koncert fortepianowy G-dur Maurycego Ravela

certu fortepianowego G-dur - M. Ravela. Utwór został skomponowany w latach 1929-1931 i posiada liczne nawiązania do jazzu oraz baskijskiej muzyki ludowej. Koncert otwiera uderzenie w ... bat symfoniczny. Tego wieczoru zabrzmia ponadto: „Pawana dla zmarłej infantki” także Ravela oraz uvertura do opery „Don Giovanni” i Symfonia D-dur nr 35 „Haffnerowska” - Mozarta.

W kolejki w Filharmonii Zielonogórskiej, w niedzielę o godz.

19 w sali kameralnej, zostanie zainaugurowany cykl muzyczny „Miesiąc kobiet”. W koncercie „Kobiety dla kobiet” wystąpią wyłącznie przedstawicielki płci pięknej tj. Marzanna Rudnicka - sopran, Anna Szczerbińska i Agata Dąbrowska - skrzypce, Jolanta Duszeńko-Lachowicz - altówka, Ewelina Łaskarzewska - wiolonczela, Agnieszka Wierzbicka - flet oraz Natalia Różańska-Susza - harfa. W programie znajdują się utwory skompono-

wane przez kobiety, w tym: Teklę Bądarzewską - „Modlitwa dziewczycy”, Katarzynę Kwiecień-Długosą „Mazurek”, Grażynę Bacewicz „Oberek II”, Fanny Mendelssohn-Hensel: „6 Pieśni op. 7” - wybór, Marię Szymanowską „Dwa walce”, Magdalenę Cynk „Walc dla M”, Alicję Gronau „5 walców minutowych”, Clarę Schumann „Sześć pieśni op. 13” - wybór, Agnieszka Zdrojek-Suchodolską „Taniec płomieni” oraz Ewę Fabiańską-Jelińską „Jedyny mój ty na świecie” - pieśń do sł. K. I. Gałczyńskiego. Konferansjerem wieczoru będzie Agnieszka Trzeciakiewicz.

Cykl „Miesiąc kobiet”, w późniejszych terminach, uświetni obecność czterech wybitnych polskich dyrygentek, do których należą: Marta Gardolińska, Marta Kluczyńska, Katarzyna Tomala-Jedynak oraz Agnieszka Środowska. Odbędą się koncerty tematyczne np. „Umówiłem się z nią na dzień wiatu”, „Lubuskie skarby muzyki”, „Taniec żywiołów”, „Architektura dźwięku” czy „Kontrasty w naturze i w muzyce”.

W Szczecinie o przyszłości energetyki wiatrowej

Jarosław Jaz
Szczecin

2 marca 2026 roku w Teatrze Polskim w Szczecinie odbędzie się II Forum Dostawców Polskiej Energetyki Wiatrowej „Energia z Polski - Local First”.

Polska Press Grupa, we współpracy z Urzędem Marszałkowskim Województwa Zachodniopomorskiego, organizuje II Forum Dostawców Polskiej Energetyki Wiatrowej „Energia z Polski - Local First”. Celem wydarzenia jest włączenie polskich firm z sektora małych i średnich przedsiębiorstw w realizację wielomiliardowych inwestycji w farmy wiatrowe na lądzie i morzu.

- Polska transformacja energetyczna to nie tylko wielkie inwestycje, ale przede wszystkim realna szansa rozwojowa dla krajowych przedsiębiorstw. II Forum Dostawców Polskiej Energetyki Wiatrowej tworzy przestrzeń, w której polskie firmy, zwłaszcza z sektora MŚP, mogą zdobyć wiedzę, nawiązać relacje i przygotować się do udziału w projektach, które w najbliższych latach będą kształtować gospodarkę i bezpieczeństwo energetyczne kraju. Naszym ce-



Koncepcja „Wind Factory of Europe” zakłada budowę silnego zaplecza przemysłowego dla energetyki wiatrowej

lem jest łączenie biznesu, administracji i inwestorów wokół idei „Local First” - mówi Zenon Nowak, prezes zarządu Polska Press Grupy.

Silne zaplecze, lokalne kompetencje

Inicjatywa stanowi bezpośrednią kontynuację debaty zapoczątkowanej podczas I edycji Forum we wrześniu 2025 roku w Warszawie. Wówczas zdefiniowano pilną potrzebę stworzenia stałej platformy dialogu między administracją rządową, in-

westorami a polskim biznesem. Tegoroczne spotkanie w Szczecinie koncentruje się na praktycznym wymiarze idei „Wind Factory of Europe”. Koncepcja ta, zrodzona na Pomorzu Zachodnim, zakłada budowę silnego zaplecza przemysłowego dla energetyki wiatrowej w oparciu o lokalne kompetencje, technologie i zasoby. Jej celem jest rozwój odpornego i konkurencyjnego łańcucha dostaw, w którym polskie firmy odgrywają kluczową rolę zarówno w projektach onshore, jak i offshore.

Włączenie MŚP w realizację projektów wiatrowych oznacza nie tylko nowe możliwości biznesowe i dywersyfikację działalności, lecz także wzmocnienie regionalnych gospodarek, zwiększenie bezpieczeństwa energetycznego oraz realizację celów klimatycznych Unii Europejskiej.

- Pomorze Zachodnie, jeśli chodzi o rozwój energii wiatrowej, jest liderem w kraju. To nie przypadek, bo transformację energetyczną rozpoczęliśmy dwadzieścia pięć lat temu. Dlatego oczekujemy, że Szczecin i województwo zachodniopomorskie staną się filarem krajowego zintegrowanego modelu rozwoju przemysłu morskiej energetyki wiatrowej, w którym wszystkie kluczowe ogniwa, od przygotowania i budowy, przez eksploatację, aż po serwis i recykling, będą miały tu swoje zakorzenienie - podkreśla Olgierd Geblewicz, marszałek województwa zachodniopomorskiego

Rząd, eksperci, przedsiębiorcy

Wydarzenie będzie poświęcone roli polskich przedsiębiorstw, w szczególności małych i średnich firm, w realizacji wielkoskalowych projektów energetycznych. Bogaty program II edy-

cji Forum pozwoli wyposażać przedsiębiorców w kompleksową wiedzę niezbędną do wejścia na rynek OZE. Przedstawiciele Ministerstwa Aktywów Państwowych, prezes zarządu Orlen SA Ireneusz Fąfara, a także przedstawiciele Enea SA, PGE Baltica, ARP SA oraz szczecińskiej stoczni Wulkan będą dyskutować o „Local content jako narzędziu rozwoju polskiego przemysłu”. W dyskusji o „Samorządach jako filarze local first” udział wezmą marszałkowie województw zachodniopomorskiego, lubuskiego i wielkopolskiego. Panele dotyczyć będą również finansowania i zabezpieczenia inwestycji. Udział wezmą w nim przedstawiciele banków PKO BP oraz BGK i państwowego ubezpieczyciela PZU SA, a także „Onshore i offshore - skala inwestycji i potencjał polskich firm” z przedstawicielami polskich spółek energetycznych.

Eksperci i praktycy branżowi szczegółowo omówią znaczenie strategii „Local First”, wskazując konkretne korzyści z niej płynące. Uczestnicy wydarzenia zapoznają się z aktualną mapą planowanych inwestycji w energetyce wiatrowej oraz poznają potencjał kontraktowy, jaki te projekty generują dla małych i średnich przedsiębiorstw.

Narzędzia dla polskich firm

Kluczową częścią merytoryczną wydarzenia będzie analiza wymagań technicznych i formalnych. Prelegenci wyjaśnią zawiłości procedur certyfikacyjnych oraz standardy zakupowe obowiązujące w projektach dużej skali, co pozwoli firmom lepiej przygotować się do postępowań przetargowych. Uzupełnieniem tej wiedzy będzie przegląd dostępnych mechanizmów finansowania transformacji i rozwoju przedsiębiorstw.

Wydarzenie wpisuje się w szerszy kontekst działań rządowych na rzecz zwiększenia udziału tzw. local content w strategicznych inwestycjach. Jak podkreślano podczas poprzedniej edycji, w najbliższej dekadzie sektor ten zaabsorbuje biliony złotych. II Forum w Szczecinie ma za zadanie dostarczyć polskim firmom narzędzi, dzięki którym kapitał ten pozostanie w krajowym obiegu gospodarczym.

Partnerami medialnymi II Forum Dostawców Polskiej Energetyki Wiatrowej „Energia z Polski - Local First” są: StrefaBiznesu.pl, Naszemiasto.pl, Głos Szczeciński i GS24.pl.

Jedni zostawiają, inni skorzystają. W Gorzowie wkrótce pojawią się pierwsze jadłodzielnie

Magdalena Marszałek
mmarszalek@gazetalubuska.pl

Prawie pięć milionów ton żywności. Tyle według szacunków co roku trafia w naszym kraju do kosza. Teraz do grona miast, które próbują realnie zmniejszyć skalę problemu, dołącza Gorzów.

Pierwsze jadłodzielnie zostaną uruchomione w lokalach, w których dobrze znanych mieszkańcom. Wolnostojące lodówki pojawią się przy Białym Kościółku na placu Staromiejskim oraz przy parafii Pierwszych Męczenników Polski przy ulicy Pluty.

- Widzimy, że to rozwiązanie od lat z powodzeniem działa w wielu miastach. U nas temat jadłodzielni również pojawia się już wcześniej, jednak dopiero teraz udało się przejść od rozmów do konkretnych działań. Stąd nasza inicjatywa. Co ważne, projekt nie obciąża budżetu miasta, ponieważ lodówki zostaną przekazane przez fundację działającą w całym kraju - podkreśla Milena Olszewska, paraolimpijka i jedna z inicjatorek pomysłu uruchomienia społecznych lodówek.



Każdy będzie mógł zostawić nadmiar jedzenia lub skorzystać z produktów

Jadłodzielnia to nic innego jak społeczny punkt wymiany żywności. Nie ma formalności, rejestrów ani procedur. Każdy, kto ma nadmiar jedzenia, będzie mógł je tam zostawić.

Każdy, kto tego jedzenia potrzebuje - będzie mógł je wziąć. - Rzeczywiście często kupujemy więcej niż jesteśmy w stanie wykorzystać, a później zapominamy o terminach przydatności. Jadłodzielnie nie zlikwidują całkowicie problemu marnowania żywności, ale mogą

być ważnym krokiem w stronę zmiany codziennych nawyków. To także przypomnienie, że jedzenie ma realną wartość. Dla jednych będzie to prosty sposób, aby podzielić się nadmiarem, dla innych konkretne wsparcie i ulga dla domowego budżetu. Często właśnie najprostsze roz-

wiązania przynoszą najbardziej widoczne efekty - dodaje Milena Olszewska.

Inicjatywę popiera siostra Anna Niepiekło ze Zgromadzenia Sióstr Jezusa Miłosiernego przy ulicy Wyszyńskiego w Gorzowie, gdzie od lat działa punkt charytatywny dla osób bezdomnych i samotnych. Na co dzień pomaga tym, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji życiowej. Jak przyznaje, z każdym rokiem wyzwań jest coraz więcej, bo osób potrzebujących systematycznie przybywa.

- U nas nic się nie marnuje. To, co otrzymujemy, od razu przygotowujemy i dzielimy między tych, którzy potrzebują pomocy, tak aby nikt nie odszedł głodny. Każdego dnia przychodzi tu kilkadziesiąt osób. To nie tylko seniorzy, ale również młodzi ludzie, którzy szukają miejsca, gdzie mogą zjeść ciepły posiłek. Równie ważne jak jedzenie jest poczucie wspólnoty i świadomość, że nie są sami. Trzeba jednak pamiętać, że nie każdy ma odwagę poprosić o pomoc. Dlatego jadłodzielnie są tak ważne. To forma wsparcia, z której

można skorzystać dyskretnie, bez formalności i bez tłumaczenia się - podkreśla.

Podobne rozwiązanie działa w pobliskim Wawrowie. Przy tamtejszym kościele stworzono przestrzeń, w której mieszkańcy mogą dzielić się żywnością - zarówno produktami o dłuższym terminie przydatności, takimi jak kasze, herbata czy konserwy, jak i artykułami wymagającymi przechowywania w chłodzie.

Choć jadłodzielnie są miejscem otwartym i dostępnym dla wszystkich, obowiązują w nich proste, ale ważne zasady. Do społecznych lodówek powinny trafić wyłącznie produkty pełnowartościowe, a więc takie, które bez wahania postawilibyśmy na własnym stole. Nie ma miejsca na artykuły z oznakami zepsucia, pleśni czy nieprzyjemnego zapachu. Jeśli cokolwiek budzi wątpliwości, lepiej tego nie przynosić. Szczególną uwagę należy zwrócić na produkty łatwo psujące się. Surowe mięso czy dania zawierające nieprzetworzone jajka nie powinny trafiać do jadłodzielni.

FOT. PIOTR CHROBOK

REKLAMA

0011483667

ORLEN

Energia jutra zaczyna się dziś

RÓBMY Z ENERGIA

Robimy energię nie tylko z wiatru. ORLEN to znacznie więcej - to gaz, fotowoltaika, poszukiwanie i wydobycie złóż, stacje paliw oraz sponsor kultury i sportu.

Ponad milion gospodarstw domowych będzie zasilanych energią wiatrową z morza w 2026 roku. Szczegóły na energijutra.ornen.pl.

Mocne uderzenie



Gwiazdą wieczoru będzie „Luxtorpeda”

Jarosław Wnorowski
GORZÓW

W sobotę od godz. 17:30, w sali widowiskowej Miejskiego Centrum Kultury będzie można posłuchać zespołów oferujących tzw. mocne brzmienie.

Wieczór rozpocznie wywodząca się z Gorzowa kapela „Rebel Nation”. Tworzy ją czterech muzyków: Maciej Leśniak - wokalista, gitara rytmiczna, Paweł Berhausen - gitara prowadząca, Arnold Szyfer - gitara basowa oraz Mateusz Jaśniewicz - perkusja. Muzyka zespołu często określana jest jako „pełna napięcia, brutalnego ładunku i nieustającej dynamiki”. Teksty

„Rebel Nation” poruszają temat upadku współczesnych wartości, konfliktów, manipulacji oraz gniewu wobec świata zagrożonego w chaosie. Około 18:30 na scenie pojawi się kolejna lokalna grupa „Blackend”. To zespół hardrockowo-heavy metalowy działający od 2014 roku i mający na swoim koncie debiutancki album „Niepokonany”. Tworzą go: Dawid Budczinski - wokalista, gitara, Sebastian Konieczny - gitara, Łukasz Zagróbka - gitara basowa i Michał Telesiński - perkusja. Gwiazdą, około godz. 20, będzie jednak zespół „Luxtorpeda”. To uznana grupa wykonująca szeroko pojętą muzykę rockową. Wstęp płatny.

WYDARZY SIĘ

REGION

Co nas czeka już niedługo

06.03 - Wernisaż wystawy „Zakłete w papierze”, Muzeum Lubuskie, Gorzów,
06.03 - Wernisaż wystawy „Otwarte oczy schną”, Morsart, Gorzów,
06.03 - Otwarcie wystawy prac Daniela Mikulskiego „Plany równoległe”, BWA, Zielona Góra,
08.03 - Koncert Darii ze Śląska, Kostrzyńskie Centrum Kultury,
09.03 - Koncert muzyki świata, Świebodziński Dom Kultury,
10.03 - Koncert Big Bandu UZ, aula UZ, Zielona Góra
12.03 - Widowisko baletowe „Jezioro łabędzie”, Żagański Pałac Kultury,
13.03 - Spotkanie i promocja książki „Mój młyn...”, Biblioteka w Bogdańcu,
15.03 - Koncert-Wieczór z Maciejem Zakościelnym, Planetarium Wenus, Zielona Góra,
17.03 - Koncert muzyczny Instytutu Muzyki UZ, RCAF, Zielona Góra.
17.03 - Żagańska Kuźnia Talentów- Dziecięcy i Młodzieżowy Festiwal Piosenki.

ZIELONA GÓRA



W sobotę o godz. 20, w Piwnicy Artystycznej Kawon, odbędzie się koncert zespołu „Mikromusic” w ramach trasy. Publiczność wysłucha m.in. takich utworów jak: „Wkurzasz mnie” czy „Nie biłeś się nigdy o mnie”. Grupa to jeden z najważniejszych zespołów polskiego avant popu i art popu, którego twarzą jest Natalia Grosiak. Wstęp płatny. JERRY

WYBIERZ SIĘ

GUBIN

Ten pierwszy raz

W sobotę o godz. 18 w sali widowiskowej Gubińskiego Domu Kultury, aktorzy Teatru „Na scenie” - Beata Małecka i Aleksander Stasiewicz, wykonają sztukę pt. „Pierwszy raz”. Jej prapremiera odbyła się w 2006 roku w Teatrze Narodowym. Opowiada ona historię dwojga młodych ludzi, którzy próbują zamienić swoją erotyczną inicjację w perfekcyjnie zaplanowane wydarzenie. Bohaterowie aranżują romantyczną scenę w mieszkaniu z wielkiej płyty. Jest nocny deszcz, zmoknięty przybysz z bukietem, herbata na rozgrzewkę, świece i wino. Każda próba kończy się jednak serią komicznych wpadek, od wzajemnych przeprosin i oskarżeń, po groteskowe wizje i nagłe zmiany nastrojów. Ta tragicomedia pokazuje współczesne dylematy młodych ludzi, ich samotność „we dwoje” oraz presję perfekcji. Twórcą spektaklu - Michał Walczak to autor m.in. „Piaskownicy”, „Podróży do wnętrza pokoju”, „Kopalni” i „Smutnej królowej”. Wstęp wolny. JERRY

ZIELONA GÓRA

Czasy big-beatu



We wtorek (3.03) o godzinie 17, w Bibliotece Norwida („Pro Libris Cafe”) odbędzie się spotkanie z cyklu „Rozmowy o Zielonej Górze”. Jest to kontynuacja wcześniejszych pogadanek z autorami trzytomowego wydawnictwa „Historia Zielonej Góry”. Obecna dyskusję zatytułowaną „Zielonogórski Big-Beat” poprowadzą Adam Rajchel, Bogdan Springer i Edmund Witczak - zielonogórscy muzycy, którzy tworzyli scenę muzyczną minionych lat, dzięki którym w lokalnych klubach i piwnicach tętniło zbuntowane życie ówczesnej młodzieży. Wstęp wolny. JERRY

ZIELONA GÓRA

Jazz ponad granicami

W poniedziałek (2.03) o godz. 18 w Piekarni Cichej Kobiety odbędzie się koncert „Jazz ponad granicami” w wykonaniu studentów Instytutu Muzyki Uniwersytetu Zielonogórskiego. Wydarzenie to część cyklu imprez w ramach obchodów 25-lecia uniwersytetu. To okazja, by posłuchać muzyki tworzonej z pasją przez młodych ludzi i świętować międzynarodową współpracę artystyczną w zakresie Polsko-Rumuńskiego Festiwalu Nauki. Wystąpią wokaliści: Julia Bodziony, Aleksandra Dajworska, Julia Dziadek, Julia Gąska, Kornelia Pulchna, Weronika Sabatowska, Adrianna Stoga, Maja Sułtanowska oraz instrumentalni: Tymon Zaganiacz - trąbka, Rafał Opiela - gitara, Kuba Gościński, Patryk Kozak, Maksymilian Maliński, Kuba Szymaniewicz - piano, Michał Tuz - perkusja, Nikodem Gapiński, Michał Nienadowski i Paweł Słoniowski (gościnnie) - bas. W programie znajdują się znane i mniej popularne standardy jazzowe. Wstęp wolny. JERRY

Jarosław Wnorowski
REGION

W obu lubuskich teatrach czeka nas naprawdę sporo atrakcji. Hitem może być monodram „Jak zjadłem psa”, ale czeka nas także dużo lżejszego repertuaru komediowo-muzycznego.

Jak wygląda służba wojskowa młodego Rosjanina w marynarce wojennej tego kraju? Na to pytanie odpowie monodram na podstawie tekstu Jewgienija Griszkowca, w reżyserii Michała Siegoczyńskiego. Uspokajając potencjalnych widzów, w sztuce nikt nie zjadł psa w rzeczywistości. Jest to na szczęście. Spektakl koncentruje się na uniwersalnych ludzkich przeżyciach i doświadczeniach młodego człowieka w militarnej machinie. Monodram wykona Marek Sitarski. To absolwent Wydziału Lalkarskiego Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie (Filia we Wrocławiu). Za tę rolę otrzymał on wiele nagród, m.in.: I nagrodę podczas Ogólnopolskiego Przeglądu Monodramu Współczesnego w Warszawie czy Grand Prix na Międzynarodowym Festiwalu Teatrów Jednego Aktora INTEGRA w Hannoverze. Sztukę zobaczymy dziś oraz w sobotę (odpowiednio o 19 i o 16) na scenie „Laboratorium Twórczego” w Lubuskim Teatrze w Zielonej Górze. Także tam (sob.-niedz.), lecz na scenie Teatru Lalek obej-



U Osterwy poznamy „Niesamowite przygody dziesięciu skarpetek”

rzymy przedstawienie sensoryczne, angażujące nasze zmysły pt. „Wiatr, wiatr”. To spektakl dla najmłodszych, nawet od 1,5 r.ż. i ich rodzin, dający doskonałą możliwość na pierwsze spotkanie dziecka z teatrem. Z kolei na duże scenie, podczas tego weekendu będziemy się bawić podczas komedii „Przedstawie ci tatę” (28.02 godz. 19 i 1.03 godz. 18). To nieco czarna komedia o relacjach damsko-męskich, w której pod przykrywką humoru, odbywa się iście filozoficzna rozprawa na temat natury kłamstwa i jego konsekwencji.

W gorzowskim Teatrze im J. Osterwy w „Art Cafe” w budynku teatru, dziś o godz. 20, zespół w składzie: Maja Kotterba-wokal, kazoo, Andrzej „Kajtək” Beń-piano, Krzysztof

Ciesielski - gitara basowa oraz Ireneusz Budny - perkusja, wykona program „Tyle słońca w całym mieście”, pełen największych przebojów Anny Jantar i Ireny Jarockiej. Z kolei w sobotę o godz. 15.30 i 19, o sprawach damsko-męskich dowiemy się z komedii „Bożyszczki kobiet”. Tymczasem 1. oraz 3-4 marca (różne godziny), dowiemy się... o sekretnym życiu skarpetek w spektaklu „Niesamowite przygody dziesięciu skarpetek”. Okazuje się, że te włożone do pralki wcale nie giną, nikt ich nie porwa, po prostu wybierają życie na wolności oraz pogoń za własnymi marzeniami i pragnieniami. To sceniczna adaptacja popularnej serii autorstwa Justyny Bednarek. Wstępu płatne.

Zachowując ciepło
domowego ogniska,

markę PGNiG
zastąpiła marka ORLEN

Informujemy, że nastąpiła zmiana nazwy spółki z dotychczasowej
PGNiG Obrót Detaliczny sp. z o.o. na myORLEN sp. z o.o.
Więcej na myorlen.pl



PO POWROCIE Z UKRAINY CIĄGŁE SŁYSZAŁEM WYBUCHY

- Ludzie w Polsce nie zdają sobie sprawy, jak ciężko żyje się w czasie wojny mieszkańcom Ukrainy, jak oni są traumatyzowani. Trudno sobie wyobrazić, co czuje matka, która posyła dziecko do szkoły i nawet nie wie, czy ono wróci - mówi Konrad Makarewicz, 46-letni pisarz ze Starego Kurowa. Jest autorem trzech powieści, z których dwie ostatnie to efekt jego wielomiesięcznych wizyt na Ukrainie.

Jarostaw Milkowski

Wojnie za naszą wschodnią granicą poświęcił pan poprzednią swoją książkę „Głęboko pod powierzchnią”. Wojsenny wątek jest także w ostatniej, czyli w „Synach jednego ojca”. Pańskie wyjazdy na Ukrainę zostaną już z panem na zawsze?

Bezsprzecznie. W momencie rozpoczęcia rosyjskiej inwazji byłem w trakcie pisania poprzedniej powieści. Zastanawiałem się właśnie nad dalszym rozwojem fabuły i zdecydowałem, że bohaterka, która pierwotnie miała być Białorusinką, będzie jednak Ukrainką. Postanowiłem, że pojedę na miejsce i doświadczę tego, co się tam dzieje. Podczas pierwszej wizyty spędziłem na Ukrainie kilka miesięcy. Ostatni raz przebywałem tam od czerwca do sierpnia 2025 roku. Jeździłem głównie na wschód Ukrainy. Byłem m.in. w Sumach, o których wspominam w „Synach jednego ojca”. Atmosferę bombardowań i nalotów przeżyłem osobiście.

Co pan tam robił?

Pisałem i bardzo dużo rozmawiałem z ludźmi. Specjalnie na potrzeby wyjazdu poduczyłem się języka rosyjskiego, bo na wschodzie Ukrainy mało kto na co dzień mówi po ukraińsku. Naukę rozpocząłem dwa tygodnie przed wyjazdem. Na Ukrainę udałem się nie tylko po materiał literacki, ale przede wszystkim po doświadczenia. Bywało, że siedziałem w parku i pisałem, gdy nagle coś nieopodal wybuchało. Rozmawiałem z mieszkańcami... Wiele z tych rozmów doskonale pamiętam. A przeprowadziłem ich mnóstwo. Czasami zagadywałem do przechodniów na chodniku, do kogoś siedzącego na ławce...



FOT. ARCHIWUM KONRADA MAKAREWICZA

Podobno każdy język uwypukla inne cechy charakteru. Ja, posługując się rosyjskim, bywam bardziej otwarty, no i - poprzez żywą rozmowę - szybciej go przyswajam.

Jak ta wojna wyglądała i wygląda pana oczami? Na początku inwazji rosyjskiej wiele było filmików w internecie, w telewizji. Teraz, jeśli nawet są, to już nie wyskakują nam one na każdym kroku.

Odbiór wojny w Polsce na pewno spowszedniał. Jednak sytuacja na miejscu drastycznie się pogarsza. Kiedy pierwszy raz wybrałem się na Ukrainę, przyjechałem do Lwowa o drugiej w nocy. W mieście wyły syreny, w od-

dali słyszałoby eksplozje, a ja czułem się, jakbym przenosił się do innej rzeczywistości. Naszły mnie wtedy wątpliwości. Nie wiedziałem, co mnie czeka.

Lwów był jednak tylko początkiem osiemsetkilometrowej podróży do Odessy. Autobus regularnie zatrzymywał się na blockpostach, czyli punktach kontrolnych. Wyczuwało się atmosferę niepokoju. Odessę - do której dotarłem na początku maja 2022 roku - zastałem ufortyfikowaną. Wiele ulic zablokowano. Z obawy przed groźącym desantem morskim zamknięto plażę. Wzdłuż linii tramwajowej, z której często korzystałem, ciągnęły się zasieki i sieć okopów.

Pierwszego wieczoru, po przybyciu do Odessy, nogi się pode mną ugięły, gdy trafiono rakieta pobliską galerię handlową. Jak później słyszałem, Rosjanie prawdopodobnie celowali w magazyn firmy kurierskiej, która wspomagała armię ukraińską.

A jak Ukraina wyglądała później, choćby latem 2025?

Wcześniej nie było dronów dalekiego zasięgu, natomiast podczas mojego ostatniego pobytu setki z nich nadlatywały każdej nocy. Całymi godzinami słyszałoby wybuchy. Spoglądając na niebo nad Zatoką Odeską, można było ujrzeć widoki jak w „Gwiezdnym Wojnach”,

gdy artyleria przeciwlotnicza strącała kolejne cele.

Jeśli w 2022 pojechał pan na Ukrainę po materiał literacki, to w zeszłym roku po co?

Ukraina jest krajem wieloetnicznym. Można w niej spotkać przedstawicieli wielu kultur z najróżniejszych stron świata. Zafascynowało mnie to...

A nie jest tak, że wojna, a w zasadzie emocje z nią związane, stały się dla pana narkotykiem?

Trochę tak... Będąc na Ukrainie, zacząłem inaczej postrzegać wojnę i mocno identyfikować się z losem Ukraińców. Byłem z nimi na co

dzień, całkowicie na nich zdany - dla strefy działań wojennych żadna firma nie zaoferowałaby mi przecież ubezpieczenia.

To skoro wojna jest narkotykiem, może nie chce pan, aby się skończyła?

[cisza] Chcę, żeby skończyła się zwycięstwem Ukraińców. Wiem jednak, że jeśli teraz miałyby się zakończyć, to nie byłoby to na ich warunkach.

Jeżdżenie z własnej woli na Ukrainę w czasie wojny jest trochę, proszę wybaczyć, samobójcze.

Wyjeżdżając na Ukrainę, akceptowałem ryzyko - chciałem, by powieść „Głęboko pod powierzchnią” była autentyczna. Zawsze staram się, żeby to, co piszę, było prawdziwe. Kiedyś przeczytałem u Hemingwaya, że „pisarze z dziesięćdziesiątą inną wojenną doświadczeń”, bo są one skrajne. Przeżyć stricte frontowych nie mam, ale poczułem atmosferę panującą w kraju ogarniętym wojną. Skoro bywałem w Kijowie, Charkowie, Odessie czy Chersoniu, a w czasie mojego pobytu ginęli ludzie, to należało zakładać, że i mnie może to spotkać. Poznałem matkę, która straciła dziecko - wstrząsnęło to mną tak bardzo, że ten wątek musiał się pojawić w ostatniej książce.

Dla literatury warto byłoby zginąć?

Wyjeżdżając pierwszy raz, zataiłem przed bliskimi cel i miejsce podróży. W szufladzie zostawiłem tylko krótkie wyjaśnienie i instrukcje na wypadek, gdybym nie wrócił. Przeraza mnie, że w Polsce nie zdajemy sobie sprawy, jak ciężko żyje się mieszkańcom Ukrainy, jak głęboko są

straumatyzowani. Często skupiamy się na Ukraincach, którzy goszczą w naszym kraju, zapominając o tych, którzy od lat funkcjonują w permanentnym zagrożeniu. Nie potrafimy sobie wyobrazić, co czuje matka, która posyła dziecko do szkoły i nigdy nie jest pewna czy ono z niej wróci... Albo... co czuje dziecko, którego ojciec od lat walczy na froncie...

Ile razy był pan na Ukrainie w czasie wojny?



FOT. ARCHIWUM KONRADA MAKAREWICZA

Kilka razy. Wszystkie te wyjazdy złożyły się łącznie na około dwanaście miesięcy. Przejechałem Ukrainę wzdłuż i wszerz, korzystając nawet BlaBlaCar-a. Z komentarzy w Polsce wnioskuję, że wielu osobom wydaje się, iż w ogarniętym wojną kraju nie działają nawet taksówki. A przecież tamtejsi mieszkańcy muszą jakoś zarabiać na życie. Wynajęcie apartamentu w Odessie, zaledwie czterysta metrów od morza, kosztuje miesięcznie około 400 zł, bo

tam obecnie mało kto myśli o wypoczynku.

Z pobytu na wojnie aż się prosi, by pisać reportaże. A pan pisze powieści...

Bo tworzenie powieści daje mi znacznie więcej swobody. Podczas jednego z długich powrotów pociągiem podjąłem nawet próbę napisania reportażu, ale szybko porzuciłem ten pomysł.

Przywiózł pan ze sobą do domu jakieś lęki, których nabawił się na Ukrainie?

Miałem tak kilka razy. Na szczęście mijało to po miesiącu, dwóch...

Co to było?

Po prostu ciągle słyszałem wybuchy. Na dźwięk przejeżdżających samochodów czy motocykli zmysły się wyostrzały i niejednokrotnie miałem wrażenie, że to nadlatująca rakietą. Nie utrudniało mi to funkcjonowania, ale byłem znacznie czujniejszy.

A snuje pan wyobrażenia, że gdy wojna się skończy, to pojedzie pan w te same miejsca jeszcze raz?

Tak, choć bez tych samych emocji. Bo gdy na zewnątrz wszystko jest tak gęste i intensywne, to wewnątrz jesteśmy bardziej skupieni, pozostajemy „tu i teraz”, a czas płynie



FOT. ARCHIWUM KONRADA MAKAREWICZA

wolniej. Jesteśmy wtedy bardziej obecni i świadomi tego, co nas otacza.

Gdzie pan się uczył pisać? Jestem świeżo po lekturze „Synów jednego ojca” i muszę przyznać, że książka jest wciągająca.

Pisania uczyłem się... pisząc. Od kilku lat świadomie unikam lektury innych autorów, by nie ulec nieświadomym wpływom i na nikim się nie

wzorować. Zależy mi na tym, aby wypracować i zachować w pełni własny, autentyczny styl.

Ostatnia książka rozgrywa się w Gorzowie i okolicach.

Od początku pisałem ją bez sztywnego planu. Nazwa Gorzów Wielkopolski pojawia się mniej więcej w połowie tekstu. Nawiązań do naszych okolic jest jednak więcej. Lubuskie to wyjątkowo tajemniczy region.

Pracuje pan już nad kolejną książką?

Pracuję nad dwiema pozycjami. Jedną z nich to metafikcja - thriller egzystencjalny. Druga natomiast pracuję nad materiałami wizualnymi. Choć na jej kartach nie padają konkretne nazwy geograficzne, to ja wiem, gdzie toczy się akcja. Moją główną inspiracją jest Odessa. Ukraina wciąż we mnie rezonuje.

MATERIAL INFORMACYJNY T-MOBILE

0011483764

Magenta AI rewolucjonizuje dostęp do sztucznej inteligencji. Pakiet narzędzi w jednej aplikacji od T-Mobile.

Trudno sobie dziś wyobrazić świat bez sztucznej inteligencji. Narzędzi wykorzystujących AI jest obecnie multum, a sieć zalewają generowane przy jej wykorzystaniu treści. Teraz do gry o użytkowników AI włącza się jeden z czołowych operatorów telekomunikacyjnych, T-Mobile. Czym jest Magenta AI?

Sztuczna inteligencja dla każdego

W czwartek, w Magenta Experience Center w Warszawie, mieliśmy możliwość zobaczyć i przetestować możliwości Magenta AI, nowy pakiet narzędzi sztucznej inteligencji, dostępnych bezpłatnie dla wszystkich użytkowników aplikacji „Mój T-Mobile”. Operator deklaruje, że chce w ten sposób „odczarować” AI i pokazać ją jako technologię prostą, bezpieczną i przydatną w codziennym życiu.

Podczas prezentacji Magenta AI przedstawiciele T-Mobile mocno akcentowali wążek demokratyzacji dostępu do sztucznej inteligencji. Firma powoływała się na dane

Deutsche Telekom, z których wynika, że Polacy najczęściej korzystają z AI do wyszukiwania informacji, nauki oraz edycji obrazów, przy czym wielu wciąż obawia się złożoności i kwestii bezpieczeństwa takich rozwiązań. Odpowiedzią ma być prosty w obsłudze, darmowy i zintegrowany z istniejącą aplikacją ekosystem trzech usług: ElevenLabs, Picsart i Perplexity Pro.

Maximiliano Bellasai, członek zarządu ds. B2C T-Mobile Polska, przekonywał, że innowacja „z natury jest inkluzywna” i nie powinna być zarezerwowana dla wąskiej grupy najbardziej technologicznie zaawansowanych użytkowników. Podkreślał, że Magenta AI ma pozwolić klientom „tu i teraz” przekonać się, jak AI może pomóc w pracy, nauce czy hobby – bez dodatkowych opłat i limitów. - *Chcemy budować zaufanie do AI i pokazywać, że nie musi ona być ani skomplikowana, ani droga* – mówił.

- *Chcemy dać użytkownikom możliwość bezpiecznego testowania, uczenia się i korzystania z potencjału*



sztucznej inteligencji poprzez sprawdzone i zaufane narzędzia. *To dopiero początek, bo wierzymy, że AI powinno być dostępne dla każdego* – zapowiedział z kolei Rickard Damm, Senior Vice President of Consumer AI w Deutsche Telekom, który do uczestników spotkania przemawiał z ekranu... w języku polskim, prezentując możliwości sztucznej inteligencji.

Trzy narzędzia w jednej aplikacji

Generowanie naturalnie brzmiącego, ludzkiego głosu to też jeden z trzech filarów Magenta AI. Jest to możliwe dzięki integracji z ElevenLabs,

firmie specjalizującej się właśnie w syntezie i generowaniu mowy. W praktyce każdy użytkownik może tworzyć naturalnie brzmiące narracje audio – bez konieczności dostępu do studia nagraniowego czy specjalistycznego sprzętu.

Leander Zapheriu z ElevenLabs zwracał uwagę, że głos jest jednym z najbardziej naturalnych sposobów komunikacji i dzięki AI otwiera się możliwość wykorzystania go „na niespotykaną wcześniej skalę”. Współpraca z T-Mobile ma pozwolić na dostarczenie rozwiązań voice to też jeden z trzech filarów Magenta AI. Jest to możliwe dzięki integracji z ElevenLabs,

Drugim elementem pakietu jest Picsart – platforma do edycji zdjęć i wideo, która wykorzystuje AI, aby uprościć pracę nad materiałami wizualnymi. Podczas konferencji pokazywano m.in. jak Picsart radzi sobie z podmianą tła, usuwaniem niepożądanych elementów z drugiego planu i tworzeniem kreatywnych efektów. To narzędzie, które może przydać się zarówno aktywnym użytkownikom mediów społecznościowych, jak i sprzedającym na platformach aukcyjnych, którym zależy na atrakcyjnej wizualnej prezentacji produktów.

Dr Hrach Tamrazyan z Picsart podkreślał, że AI w kreatywności „nie zastępuje człowieka”, lecz daje mu większą kontrolę i swobodę tworzenia. Zwracał też uwagę, że rozwiązania rozwijane wspólnie z T-Mobile mają łączyć profesjonalne możliwości z prostą obsługą i dbałością o bezpieczeństwo użytkowników.

Trzecim filarem Magenta AI jest Perplexity Pro – narzędzie określane jako inteligentna wyszukiwarka, która

zamiast listy linków dostarcza konkretne odpowiedzi wraz ze źródłami. Perplexity było już wcześniej dostępne dla części klientów, a zainteresowanie tym rozwiązaniem zachęciło operatora do udostępnienia go szerszej grupie użytkowników.

Perplexity Pro ma służyć do nauki, pracy z tekstem i eksplorowania informacji w bardziej uporządkowany sposób, redukując „chaos informacyjny”, z którym mierzą się użytkownicy klasycznych wyszukiwarek. To właśnie transparentność (źródła odpowiedzi) i wiarygodność mają być głównymi przewagami tego komponentu Magenta AI.

Wszystkie te narzędzia dla klientów sieci są darmowe, nielimitowane, dostępne w aplikacji „Mój T-Mobile” i zaprojektowane tak, by były zrozumiałe także dla mniej zaawansowanych użytkowników. Operator przekonuje, że Magenta AI ma szansę stać się „zaufanym przewodnikiem” po świecie sztucznej inteligencji, co w gąszczu mnożących się narzędzi AI może mieć niebagatelne znaczenie.

KAŻDY MA JAKIEGOŚ BZIKA...

RODZINA ŚPI, A ON „DŁUBIE”. TAK CZYŚCI MYŚLI

Burmistrz Międzyrzecza Remigiusz Lorenz codziennie podejmuje trudne decyzje, rozstrzyga spory, obraca gminnymi milionami. Jak „wietrzy głowę”? Ma dość nietypowe hobby... - Kilka razy udało mi się odpalić czujki czadu i dymu w domu - przyznaje „Gazecie Lubuskiej”.

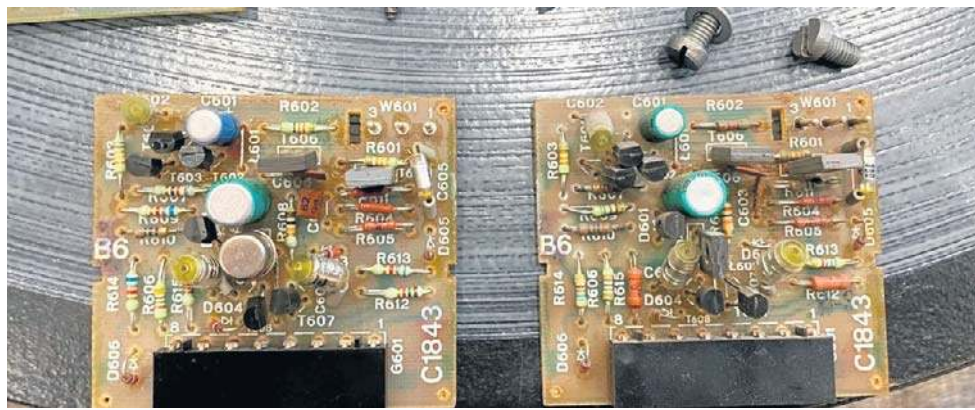
Tomasz Rusek

Jak to się zaczęło? Jakiejś jednej daty nie da się wskazać, ale... już za młodszych lat mały Remik potrafił rozkręcić każde urządzenie. - Oczywiście muszę zaznaczyć, że nie zawsze udało mi się potem je skrócić z powrotem - zastrzega ze śmiechem.

Jedno wspomnienie, choć stare, jest jednak najbardziej wyraźne. Próbował z tylnej lampy Fiata 125p zrobić kolorofon (uwaga młodszy Czytelnicy:

w dużym skrócie to urządzenie, które dopasowywało miganie świateł do muzyki - dop. red.). - Nie uwzględniłem wówczas, że lampy te miały chromowaną obudowę, która przewodzi prąd. Przyznam, że nauka była szybka i elektryzująca, bo popieścił mnie prąd - mówi burmistrz.

Śmieje się, że takie to były wtedy czasy. Każdy, kto potrafił, próbował coś zмайstrować samodzielnie. A zaawansowaną, nowoczesną elektronikę



FOT. TOMASZ RUSEK

można było oglądać w prospektach, katalogach albo zobaczyć w Peweksie czy w Baltonie.

Największą radość dają kolumny

R. Lorenz mówi „GL” wprost, że dziś dłubanie w elektronice to dla niego „taka terapia dla mózgu”.

- Natłok problemów, postępowań administracyjnych, strategii... To wszystko jest dość uciążliwe w codziennym życiu, a czasami przekształca się w bezsenność i zmęczenie. A to hobby mnie wycisza i czyści myśli - dodaje burmistrz. Zaznacza też, że większość prac przy sprzęcie wykonuje, kiedy rodzina już śpi. Wtedy jest sam na sam z naprawianym sprzętem.

Co najchętniej bierze na warsztat? W ostatnim czasie było to kilkanaście urządzeń, od zepsutej pralki, poprzez zmywarkę po odkurzacz. Ale jego konikiem jest sprzęt grający. Naprawił z 10 gramofonów, z trzy wzmacniacze, doposażył stary sprzęt w moduły bluetooth, aby można było odtwarzać na nich muzykę ze streamingów, dał drugie życie także kilku magnetofonom. Liczb co do jednej sztuki nie potrafi podać, bo... jakoś specjalnie wszystkiego nie liczy.

- Jednak największą radość sprawia mi praca przy kolum-

MATERIAL INFORMACYJNY SIECI BIEDRONKA

0011459462

Historia, która zaczęła się po cichu. Jak jedno „wyślij” odmieniło życie Krzysztofa Trojana

Krzysztof Trojan nie planował zostać pisarzem. Przy najmniej nie takim „prawdziwym”, którego książka trafia do rąk dziesiątek tysięcy dzieci w całej Polsce. Ten ojciec czwórki dzieci spod Krakowa przez lata pisał po godzinach, najczęściej wtedy, gdy mieszkanie wreszcie cicho, a codzienne obowiązki przestawały domagać się uwagi. To były teksty „do szuflady” - opowiadania, które istniały bardziej z potrzeby serca niż z wiary, że kiedykolwiek ujrzą światło dzienne.

Dlatego kiedy pewnego dnia kliknął „wyślij” i zgłosił swoją historię do konkursu Piórko. Nagroda Biedronki za książkę dla dzieci, nie powiedział o tym prawie nikomu. Nie chciał robić szumu, budować oczekiwań, ani tłumaczyć, dlaczego w ogóle próbuje. „Pisałem dla siebie” - mówi dziś. „Nie sądziłem, że to zainteresuje kogokolwiek spoza mojego najbliższego otoczenia”.

A potem przyszła wiadomość, która zmieniła wszystko.

Niewypowiedziane marzenie, które stało się faktem

Krzysztof nie dowierzał, gdy dowiedział się, że to właśnie jego historia - „Co zrobić z tym smokiem?” została nagrodzona w kategorii Tekst. Wśród przyjaciół tę informację przyjęto z wielkim zaskoczeniem - większość znajomych nie miała pojęcia, że pisze.

„Byli zdziwieni, ale bardzo życzliwi. Dla nich to było odkrycie. Dla mnie - spełnienie czegoś, o czym nie mówiłem głośno” - wspomina.

Wygrana przyniosła mu nie tylko satysfakcję. Stała się także realną pomocą w momencie, w którym najbardziej jej potrzebował. Nagroda finansowa poważnie wsparła budżet związany z zakupem pierwszego własnego domu. „To był idealny moment. Wynik ogłoszono trzy miesiące przed zakończeniem na-

szej dotychczasowej umowy najmu. Piórko dało nam nie tylko radość, ale też poczucie bezpieczeństwa”.

Ale to, co zwycięstwo zmieniło najbardziej, jest niewidoczne na papierze - i nie da się tego przeliczyć na żadne kwoty.

Poczucie sprawczości, które zostaje na zawsze

„Zwycięstwo pozwoliło mi uwierzyć, że moje pisanie może interesować kogoś poza najbliższymi. To potężne uczucie sprawczości” - mówi Krzysztof.

Ta wiara sprawiła, że do pisania wrócił z nową energią. Zaczął redagować wcześniejsze teksty, planować kolejne opowieści. Rozmowy o pisaniu stały się czymś naturalnym w jego otoczeniu - tematem, który już nie zaskakuje, ale budzi ciekawość.

Piórko 2026 - konkurs, który dojrzewa razem z twórcami

To właśnie takie historie jak ta pokazały organizatorom, że Piórko powinno rosnąć wraz z uczestnikami. Dlatego



tegoroczna edycja przynosi największe zmiany w historii konkursu - przemyślane, odpowiedzialne i oparte na obserwacjach twórców. Najważniejsza decyzja to pełne otwarcie konkursu na wszystkich uczestników. Znika ograniczenie mówiące, że uczestnik nie może mieć wcześniejszej publikacji. To symboliczny, ale bardzo istotny krok: Piórko staje się przestrzenią dla wszystkich, którzy tworzą książki dla

dzieci - niezależnie od ich doświadczenia.

Drugą fundamentalną zmianą jest wprowadzenie **dwóch równoległych ścieżek konkursowych**:

✓ Piórko Wyobraźni

Ścieżka tradycyjna, w której powstaje wyłącznie w pełni autorska twórczość. To ukłon w stronę rzemiosła literackiego i ilustratorskiego. Nagrody w tej ścieżce są najwyższe w historii Piórka - po 120 000 zł netto dla autora tekstu i ilustratora oraz publikacja książki w kilkudziesięciu tysiącach egzemplarzy.

✓ Piórko Innowacji

Ścieżka dla twórców pracujących z narzędziami AI, pod warunkiem pełnej transparentności procesu. Prace nagradzane są kwotą 30 000 zł netto, a zwycięska książeczka zostaje opublikowana jako e-book powiązany QR-kodem z wydaniem drukowanym.

Istotną zmianą jest także **doprecyzowanie długości**



PIÓRKO 2026
NAGRODA BIEDRONKI
ZA KSIĄŻKĘ DLA DZIECI

tekstów - nowy przedział to **30 000-50 000 znaków**, co pozwala autorom tworzyć spójne, pełne historie, łatwiejsze do porównania i oceny.

Konkurs, który zmienia się po to, by dalej zmieniać życie

Nowe zasady, bardziej przejrzyste ścieżki twórcze i otwartość na różne sposoby opowiadania historii mają jeden cel: sprawić, by Piórko nadal było przestrzenią, która daje twórcom nie tylko nagrody, ale również impuls, by ruszyć dalej. Tak jak stało się w przypadku Krzysztofa Trojana, który pisał po nocach, w ciszy. A dziś tworzy inaczej - z odwagą.

Szczegółowe informacje na temat zasad konkursu i ważne terminy dostępne są na stronie:
<https://piorko.biedronka.pl/>.

nach głośnikowych. Tutaj, oprócz elektroniki (zwrotnice) jest trochę stolarki. Przez dłuższy czas obawiałem się klejenia forniru z drewna naturalnego, ale okazuje się że to bardzo wdzięczny materiał - uśmiecha się. A potem pokazuje nam zdjęcia głośników sprzed renowacji i po. Różnica jest gigantyczna. Satisfakcja pewnie też.

Taka żona to prawdziwy skarb

Przez to, że to całe naprawianie idzie mu coraz sprawniej, powoli zaczyna burmistrzowi... brakować miejsca na kolejne urządzenia. Stąd pomysł, by oddawać naprawione gramofony na cele charytatywne. Nie każdy pewnie wie, że w 2025 i w 2026 r. w Międzyrzeckim Ośrodku Kultury można było wylicytować urządzenia, które osobiście naprawił. Poszły za setki złotych.

No i na szczęście żona Agnieszka ze zrozumieniem podchodzi do pasji męża. Wspiera, dopinguje, nie robi wyrzutów, że R. Lorenz znowu znika w swojej jaskini, czyli piwnicy. Choć... nie zawsze jest to piwnica.

- Gdzie działam? To zależy od pory roku i rodzaju prac. Jeśli jest robota przy elektronice, to „dłubię” w piwnicy; natomiast gdy jest coś do zrobienia ze stolarką czy jakies lakierowa-

nie, to działam na dworze. Choć i tak muszę się przyznać, że kilka razy udało mi się odpać domowe czujki czadu i dymu. No i w piwnicy mam swoje pomieszczenie do słuchania muzyki z płyt winylowych, więc maksymalnie unikam kurzu i zapylenia - wyjaśnia elektronik-amator.

Aż się łezka w oku zakręciła

Gdy pytamy, co jest absolutnie najpiękniejszego w tym hobby, R. Lorenz nie zastanawia się nawet chwili: - Zdecydowanie największą satysfakcją mam w chwili, gdy sprzęt, który nie działał, dzięki mojej pracy zaczyna funkcjonować. I kiedy mogę się tym dzielić. Do dziś mam w pamięci moment, gdy bratanica dostała ode mnie na gwiazdkę gramofon i zakręciła się jej łezka w oku. Mnie też.

Na koniec zaznacza, że to nie jest tak, że „umie wszystko i wie wszystko”. Ma w sobie dużo pokory i chętnie korzysta z wiedzy mądrzejszych i bardziej doświadczonych. Szuka odpowiedzi w internecie, w filmach instruktażowych, na forach poświęconych sprzętowi audio. Podpowiada, że to może być droga dla tych, którzy też chcieliby zacząć swoją przygodę z tym hobby: - Tylko trzeba zacząć, trzeba spróbować.



Remigiusz Lorenz w swoim warsztacie

LUDZKA TWARZ

„Każdy ma jakiegoś bziaka, każdy jakieś hobby ma. A ja w domu mam chomika, kota, rybki oraz psa” - pamiętacie Państwo ten przebój? My też. Dlatego od dziś będziemy w Magazynie „GL” co jakiś czas prezentować znanych Lubuszan i ich (nieco)mniej znane hobby. Na pierwszy ogień poszedł dziś burmistrz Międzyrzecza Remigiusz Lorenz, który w wolnych chwilach naprawia gramofony i inną elektronikę. Ale przecież nie tylko on ma swoją oryginalną pasję. Prezydenci lubuskich miast, uznani sportowcy, inni burmistrzowie, dyrektorzy, prezesi czy wójtowie na pewno też dla relaksu robią coś, co nieźle Was zaskoczy. Chcemy pokazać w GL ich drugą, ludzką twarz! Macie kolejną kandydatkę/kandydata do naszego cyklu? Dajcie znać o kim mowa i jakie ma hobby. Obiecujemy, że Was nie sprzedamy! Gwarantujemy anonimowość: tomasz.rusek@polskarek.pl

FOT. TOMASZ RUSEK

AUTOREKLAMA

0011481869

Konkurs plastyczny

dla dzieci w dwóch kategoriach wiekowych: 7-10 oraz 11-14 lat

Daj dziecku puścić wodze fantazji!

Do wygrania supernagrody!

Zadaniem konkursowym jest przygotowanie przez dziecko plakatu lub rysunku nawiązującego do hasła „Ferie marzeń”!

Na zgłoszenia czekamy do 10 marca br.!

Do wygrania vouchery do sklepu Empik!

Więcej szczegółów oraz zgłoszenia na:

https://gazetalubuska.pl/konkurs_ferie

FERIE MARZEŃ!

ORGANIZATOR:

GAZETA LUBUSKA



WOJEWODA LUBUSKI
MAREK CEBULA

PARTNERZY:

POLREGIO



#naprawęnaastroju
FOCUS
mall





FOT. JAROSŁAW MIŁKOWSKI

JAK ŻYĆ, GDY ROZKŁAD SIĘ WYKOLEJA?

Przez spóźniające się pociągi pani Emilia musiała zrezygnować z pracy w szkole. Krystian do swojej notorycznie się spóźnia. A pan Ryszard usłyszał w kasie, że lepiej niech pojedzie późniejszym szynobusem niż wcześniejszą autobusową komunikacją zastępczą. Tak wygląda życie lubuskiego pasażera kolei.

Jarosław Miłkowski

Kilka miesięcy temu, jeszcze w zeszłym roku, czekałem na pociąg z cztery godziny. Najpierw odwołany był jeden, potem drugi. Dopiero trzeci przyjechał i mogłem wrócić do Kostrzyna - opowiada mi 18-letni Kamil. Uczy się w szkole w Strzelcach Krajeńskich, gdzie mieszka w internacie. Dojeżdża tam co tydzień.

- I co tydzień się spóźniam, bo pociąg do Zwierzyna, gdzie czeka na mnie kolega z podwózką, z reguły ma 30-minutowe spóźnienie - tłumaczy.

Mieszkający w Kostrzynie Kamil jest jednym z kilku moich rozmówców. O tym, że pociągi w Lubuskim jeżdżą jak

chcą, na łamach „Gazety Lubuskiej” piszę regularnie. Teraz sam postanowiłem odbyć podróż szynobusem. Chcę porozmawiać z ludźmi o tym, jak wygląda ich życie, gdy już od kilku lat nie wiadomo, czy pociąg przyjedzie punktualnie. Ba! Gdy nie wiadomo, czy w ogóle przyjedzie...

Spóźnia się nie tylko pociąg

By porozmawiać o codziennym życiu pasażera, jadę szynobusem z Gorzowa do Kostrzyna i z powrotem. W podróż wybieram się pociągiem, który planowo ma wyjechać z Gorzowa o 9.56.

O punktualności ciężko jednak mówić już po wejściu

na peron. Względem tego, co widzę w swoim smartfonie, o minutę spóźnia się tu nawet dworcowy zegar.

Pociąg Krzyż - Gorzów - Kostrzyn na czas oczywiście nie przyjeżdża. On ma „ledwie” sześć minut opóźnienia. A ja mam więcej czasu na rozmowy z pasażerami. Wśród nich jest wiele młodych osób, głównie uczniów.

Na peronie czeka m.in. 17-letnia Anna. Mieszka w Kostrzynie, uczy się w gorzowskiej Odzieżówce.

- Najdłużej czekałam na pociąg trzy godziny. Na mrozie! Nawet autobus w zastępstwie nie przyjechał - mówi mi nastolatka. Jej zdaniem lepsza organizacja jest w Kostrzynie. - Tam

autobus jest niemal od razu. W Gorzowie trzeba na niego czekać - mówi dziewczyna.

Przez spóźniające się składy już kilka razy miała problemy w szkole.

- Raz nie zdążyłam na ważny sprawdzian i dostałam jedynkę. Musiałam później ją poprawiać i zostawać w szkole po lekcjach. Jak mam ważne lekcje, a pociąg długo nie przyjeżdża, czekam do skutku, żebym chociaż się spóźniła, bo wtedy można to jakoś usprawiedliwić. Gdy po lekcjach wracam do Kostrzyna, a pociąg jest odwołany, to albo chodzę z nudów po mieście, albo mama prosi swoją koleżankę, by mnie odebrała - mówi 17-latką.

„Punktualnie nie jeździ nawet połowa”

W oczekiwaniu na pociąg rozmawiam też z Krystianem, 20-latką z Kostrzyna. Ze spóźnieniami pociągów stara sobie jakoś radzić.

- Spoglądam w aplikację, by sprawdzić, które pociągi jeżdżą, a które nie. I na podstawie tego ustalam plan dnia. Poza tym wracam tymi, które w rozkładzie jazdy nie są ostatnie. No bo jak tego ostatniego nie będzie, to co zrobić? - zauważa młody kostrzynianin.

- Największy problem jest rano - dodaje Anastazja, 17-latką z podgorzowskiego Glinika. Do Kostrzyna dojeżdża na praktyki. - Według mnie, spóźnionych lub odwołanych

jest z 80 proc. wszystkich pociągów - mówi.

- Na czas przyjeżdża mniej jak połowa - potwierdza te słowa 33-letnia Agata z Witiczy. Ją z kolei spotykam już w szynobusie, którym wraca do domu.

Rozmawiam też z 27-letnią Aleksandrą z Nowin Wielkich.

- Pociągami jeżdżę trzy-cztery razy w tygodniu. Raz, gdy miałam umówioną wizytę u lekarza, skład w ogóle nie przyjechał. Co zrobiłam? A co mogłam zrobić?! Odwołałam wizytę - mówi.

„Za komuny było lepiej”

Im dłużej rozmawiam w pociągu z ludźmi, tym bardziej są rozmowni. I do rozmowy dołączają się coraz więcej osób.

- Dziś miał być pociąg o 8.16, ale w ogóle nie przyjechał - zaczyna pani Lidia, 68-latką, która co tydzień jeździ z Gorzowa do Kostrzyna w odwiedziny do mamy. - Przez megafon była informacja, że zamiast pociągu będzie autobus. Wysłałam na ul. Jancarza, gdzie miał podjechać, ale pojazdu nie było. Zmarłam okrutnie. Pani w kasie nic nie wiedziała. Nikt nie był w stanie nas poinformować, o której autobus przyjedzie. Jadę więc pociągami, tylko późniejszym - mówi. Przy okazji dzieli się obserwacjami.

- Dla mnie to niezrozumiałe, że pociąg już na pierwszej stacji jest spóźniony. Jak wracam z Kostrzyna do Gorzowa, to jestem na dworcu przed godziną odjazdu. Widzę wtedy, jak przyjeżdża pociąg z Gorzowa. Jednak zamiast być podstawiony od razu, zjeżdża na bocznicę, by zostać posprzątanym. Wolałabym, by był bardziej punktualny niż czystszy - mówi pani Lidia. Rozmowie przysłuchuje się już kilka osób.

- Za komuny było lepiej - wtrąca starsza kobieta, która siedzi na fotelu przy oknie, po drugiej stronie.

- Wmawia się nam, że problemy są, bo nie mamy elektryfikacji. Ostatnio byłam na Podlasiu i też jechałam spalinywym. Tam się jednak nie spóźnił. Lubuskie, jeśli chodzi o pociągi, jest najgorsze. Chyba ktoś ma interes, żeby to do upadłości doprowadzić - mówi pani Lucyna, kolejna z pasażerek, gdy pociąg wjeżdża już do Kostrzyna.

- Nasze województwo zamiast na kolej wolało postawić na lotnisko - dodaje pani Małgorzata, gorzowianka, gdy szynobus już hamuje.

- A czy jest w paniach wiara, że ta sytuacja się kiedyś poprawi? - pytam współpasażerek.

- Zmieni się, ale na gorsze - odpowiada pani Lidia.

Gdy wsiadamy z szynobus, przed jego drzwiami czekają... panie sprzątające.

Kolejowa logika

Do Kostrzyna przyjeżdżamy około 10.40. Dziesięć minut wcześniej powinien odjechać pociąg do Gorzowa. Na sąsiednim peronie stoi jednak grupa pasażerów.

- Hmm... Czyli jeszcze nie odjechał - mówię do siebie w myślach. Gdy przechodzę na sąsiedni peron, po kilku minutach podjeżdża... ten sam szynobus, którym dopiero co przyjechałem z Gorzowa.

Sytuacja wydaje się humorystyczna.

- Przyjazd pociągu z Gorzowa do Kostrzyna jest w rozkładzie o 10.35. Odjazd z Kostrzyna do Gorzowa jest w rozkładzie o 10.30. I oba połączenia obsługuje jeden pojazd?! - zagaduję wychodzącego z pojazdu maszynistę.

- O 10.30 miał jechać inny szynobus, ale nad ranem się zepsuł. Pojazd, którym pan przyjechał nie pojedzie więc do Gorzowa o 12.13, ale już teraz, za to z opóźnieniem. Z kolei o 12.13 pojedzie pewnie komunikacja zastępcza - odpowiada mężczyzna.

W drogę powrotną, zamiast o 10.30, szynobus wyrusza o 10.51, a ja decyduję się zostać w Kostrzynie, bo intuicja mi podpowiada, że jeszcze będzie ciekawie...

No i jest! Gdy wybija południe, pojawia się na peronie, z którego o 12.13 powinien odjechać pociąg do Krzyża, przez Gorzów. Po chwili pojawia się pan Ryszard. To zielonogórzanin, lat 68, który jedzie z Berlina w głąb Polski i musi się dostać do Krzyża, gdzie będzie miał przesiadkę.

- Usłyszałem od pani w kasie, że bym nie wsiadał do wcześniejszego autobusu, tylko pojechał późniejszym pociągiem, tym o 13.00. Będzie w Krzyżu szybciej niż wcześniejszy autobus - mówi mężczyzna.

Z pozoru to, co słyszę, wydaje się to niezrozumiałe, ale... logika jest w tym ogromna. Szynobus trasę Kostrzyn - Gorzów



FOT. JAROSŁAW MIŁKOWSKI

- Krzyż pokonuje w 93 minuty. A autobus? W co najmniej trzy godziny.

Kierowca ma przerwę

O tym, że zamiast pociągu o 12.13 będzie podstawiony autobus, głos z megafonu obwieszcza o 12.05. Wraz z pasażerami idę więc cztery minuty na kostrzyński przystanek, gdzie stoją trzy autokary.

- Ciekawe, który to ten zastępczy...? - mówię do idącej obok mnie osoby.

- Jak znam życie, to żaden - odpowiada kobieta. To 35-letnia Emilia, kostrzynianka. Jeszcze jakiś czas temu pracowała w szkole w Witnicy.

- Przez rok dojeżdżałam regularnie, ale raz, dwa razy w tygodniu, pociąg był odwołany. Nie przedłużyłam więc umowy. W szkole nie miało to sensu. Jak wymagać od uczniów punktualności, skoro samemu się człowiek spóźnia?! - pyta 35-latką.

Który autobus jest komunikacją zastępczą, poznaję po tym, że stoi przy nim kie-

rownik... pociągu. Pojazd nie ma nawet oznaczenia, że ma jechać do Krzyża przez Gorzów.

Gdy mijają 12.16 i autobus - tak się przynajmniej wydaje - powinien być już w trasie, jego kierowca wychodzi na papierosa.

- Trzy minuty temu autobus powinien odjechać, a pan tu na fajeczkę wychodzisz? - zagaduję kierowcę.

- Panie, po przyjechaniu mam 15 minut przerwy, a od rana jeżdżę - mówi mężczyzna. Chwilę później podchodzi troje obcokrajowców: Azjatka, Ukrainka i ciemnoskóry mężczyzna, którego kilkanaście minut wcześniej widziałem na peronie.

- O! Widzi pan! Nawet dobrze, że o czasie nie odjechałem, bo by się spóźnili - mówi kierowca. - W Krzyżu to będę musiał zrobić nawet 30 minut przerwy.

Czekając na odjazd, próbuję zagadnąć kierowcę pociągu.

- Ten autobus to na każdą stację będzie zajeżdżał? Ile może potrwać podróż



FOT. JAROSŁAW MIŁKOWSKI

do Krzyża? - dopytuję, by upewnić się, że - jak mówili mi wcześniej ludzie w pociągu - trasę Kostrzyn - Gorzów jedzie się w 1 godz. 20 min., a do Krzyża to nawet ponad trzy godziny.

- A pan gdzie chce jechać? - Pytam, bo piszę reportaż o tym, jak ciężkie jest życie ludzi, gdy pociągi się notorycznie spóźniają - odpowiadam.

Kierownik pociągu rozmowy nie podejmuje.

W oknach autobusu dostrzegam skierowane w moją stronę kciuki pasażerów. Odbieram ten gest jednoznacznie: ludzie chcą, żeby kolej w końcu jeździła jak dawniej.

Do Gorzowa decyduję się wracać pociągiem. Zamiast o 13.00, wyrusza w trasę o 13.13.

W dniu mojej reporterskiej podróży - był to piątek 13 lu-

tego - w trasę nie wyjechało 26 pociągów, a więc mniej więcej co szósty z tych, które powinny pojawić się na lubuskich torach.

W styczniu tego roku odwołanych było 466 połączeń. W lutym - jak wychodzi z analizy facebookowego profilu „Czy ZKA w Lubuskim dziś wyjechało” - liczba będzie większa. W całym zeszłym roku na części lub całej trasie odwołano 4161 pociągów.



FOT. JAROSŁAW MIŁKOWSKI

REKLAMA 0011468153

Pomóż nam pomagać innym przekaż swoje

Ośrodek na Zaciszu

1,5%

Stowarzyszenie Ośrodek Integracji Społecznej
www.ois.org.pl
KRS 0000125956

Takiego sposobu zgłębiania historii regionu jeszcze na łamach Gazety Lubuskiej nie opisywaliśmy. Kurtyka jest gorzowianinem. W dzieciństwie mieszkał przy ul. Słonecznej i to tam zaczął interesować się historią miasta. Na początku było jak zawsze: historie poszczególnych ulic, budynków, które wciąż stoją i tych, których już nie ma, przeglądanie starych zdjęć, widokówek i rycin. Porównywanie tego co jest, z tym co było przed II wojną światową. Do czasu, gdy zaczęła się pasja związana z winiarstwem. Tak, gorszowanie nie gęsi i swe tradycje winiarskie mają. Ale o tym za chwilę.

Zamiłowanie do historii i winiarska pasja połączyły się i zawoocowały założeniem winnicy.

- Decyzja zapadła w 2015 r. Rok później zaczęliśmy przygotowywać ziemię. Kilkanaście lat leżała ugiem, trzeba było to wszystko wyciąć, przemieścić i poczekać aż się odleży. W 2018 były pierwsze nasadzenia - wspomina nasz rozmówca.

Jak Polacy życie uprzykrzali

Winnica Vineas Montis leży w podgorzowskim Santoku. Położona jest malowniczo na zboczu, u podnóża którego płynie Noteć. W tym konkretnym miejscu w średniowieczu winorośli prawdopodobnie nie uprawiano, ale tradycje winiarskie tych terenów sięgają odległych wieków. Historia jest bardzo ciekawa...

- Pierwszy zachowany dokument o santockich winnicach datowany jest na listopad 1435 r. Wiemy, że winnice istniały na wzgórzu Weinberg, tylko nie do końca wiemy, gdzie ono się znajdowało - mówi P. Kurtyka.

W XV w. po jednej stronie Warty i Noteci leżało miasteczko rolnicze Nowy Santok, które należało do kilku rodów szlacheckich. Sprzedawano tu płody rolne i ryby. Po drugiej stronie, w dawnym grodzie, była placówka joannitów. Zakon pozostawał w dobrych relacjach się z Polakami, którzy czasem wybierali się na grabież okolicznych terenów.

W dokumencie z listopada 1435 r. rody rycerskie z Gralewa i Santoka napisały do margrabiów brandenburskich skargę. Żalili się, że zakonnicy wpuszcili Polaków, którzy wybrali kamienie w brodzie, przez co ryby na zimę zeszyły w głębsze partie rzeki i były trudniejsze do złowienia. Druga rzecz, na którą się skarżono, to wykarczowanie, zniszczenie winnic znajdujących się na wzgórzu Weinberg.

Kurtyka sądzi, że zniszczona przez Polaków winnica nie mogła znajdować się w bezpośrednim sąsiedztwie wsi.

- Przeprawiali się w sile kilkudziesięciu osób. Zostaliby zauważeni, gdyby uprawa znajdowała się tuż nad Santokiem. Byłaby wielka draka, ktoś był stawiał



FOT. JAKUB PIKULIK

GORZOWIANIE NIE GĘSI I TRADYCJE WINIARSKIE MAJĄ

Pierwsze potwierdzone wzmianki o winnicach w Gorzowie sięgają 1278 r. Paweł Kurtyka od lat poszukuje krzewów spokrewnionych z tymi średniowiecznymi. Odnajduje poszczególne rośliny i... bada ich DNA. Aż dziw bierze, jak bardzo historia winorośli przeplata się z dziejami terenów, na których mieszkamy.

Jakub Pikulik

opór, a potyczka byłaby głośna jak na tamte czasy. Winnica musiała być poza wsią. Tylko gdzie? - zastanawia się nasz rozmówca.

Więcej światła na możliwą lokalizację winnicy rzuciły osiemnastowieczne mapy, które kupił w berlińskim archiwum państwowym. Mają one sporo nazw, tzw. toponimów, które wynikają z tradycji językowych tych terenów. Na jednej z nich, w nieoczywistym miejscu, bo ani przy Gralewie, ani przy Santoku, narysowane są ogrody. Teraz jest to teren miejscowości Płomykowo.

- Dla mnie skojarzenie jest jasne. To jest południowy stok, w tej chwili zarośnięty lasem. Być może wśród tych ogrodów były też winnice. Szrafura (sposób zaznaczenia na mapie - przyp. red.) tych ogrodów odpowiada terenom uprawnym innym niż pola pod zboża, a więc sady, warzywniki. A ponieważ

w czasie tworzenia tej mapy, w Landsbergu istniało dobre 25 ha winnic, które były także w ten sposób na tym opracowaniu kartograficznym oznaczone, te tereny "ogrodnicze" w pobliżu Gralewa mogły być po części również ogrodami winorośli i to od czasów średniowiecznych. Polacy mogli obejść Santok dookoła. Miejsce jest ustronne, można narobić szkód, będąc niezauważonym - twierdzi Kurtyka.

Po uprawach zostały pojedyncze krzewy

Nasz rozmówca od kilku lat odwiedza miejsca, gdzie przed wiekami uprawiano winorośle. Czasem po uprawach nie ma już śladu, czasem są to pojedyncze krzewy. Bywa, że charakterystyczny, tarasowy układ zbocza sugeruje, że niegdyś mogły tu być winorośle. Porzuconych winnic w samym Gorzowie

w zasadzie już nie ma, a w XVI wieku mogło funkcjonować ich w mieście nawet 50! Były to uprawy o powierzchni od kilku arów do dwóch hektarów. Prowadzone przez poszczególne rodziny mieszczańskie, głównie na własne potrzeby. Mówi to o skali winiarskich tradycji w mieście. Do dziś zachowała się tylko jedna, przy ul. Jastrzębiej. Była uprawiana jeszcze po wojnie, do lat 60. Jeszcze do niedawna zapomniane krzewy rosły tu w rzędach. Ale już znikają, bo działki są sprzedawane i powstają tu nowe budynki. Trzeba mieć wprawne oko i dużą wiedzę, żeby odnaleźć miejsca, gdzie niegdyś rosły winorośle.

Ciekawa historia dotyczy gorzowskich Wieprzyc. Tu w XVI w. działały winnice, z których wino było dostarczane do miasta. Czerwone wina wieprzyc były chwalone przez rajców miejskich i weszły do sprzedaży.

Mozna je było kupić w wyszynku w piwnicach nieistniejącego już ratusza.

- Chodzę po Wieprzycach i szukam śladów tych winnic, ale ciężko je odnaleźć. Wydaje się, że były zaraz za zagrodami, za zabudowaniami gospodarczymi. Wioska była położona na południowym stoku łagodnie opadającym w stronę Warty, więc ukształtowanie terenu sprzyjało, żeby uprawiać je właśnie w tych miejscach - mówi pan Paweł.

Gorzów ma swoje tradycje

Czy winiarskie tradycje Gorzowa są starsze, niż Zielonej Góry?

- Pierwsza zapisana w dokumentach wzmianka o uprawie winnic w Gorzowie sięga 1278 r. - zauważa Kurtyka.

W Lubuskiem lubimy gorzowsko-zielonogórskie porównania. Porównajmy więc. Pierwsza potwierdzona wzmianka o winnicy w Zielonej Górze pochodzi z 1314 r., gdy podczas epidemii dżumy mieszkańcy uciekli na wzgórze do kaplicy, która otoczona była winnicami. Wniosek jest prosty: jeśli chodzi o winiarstwo i produkcję wina, to Gorzów Zielonej Górze w niczym nie ustępował.

- Historia terenów, na których mieszkamy jest fascynująca. To, co działo się tutaj 200, 300 lat temu, dotyczy też nas. Byli tu Niemcy, teraz są Polacy, ale ta ziemia wciąż ma swoją historię. Zgłębiając tę historię prywatnie, bo mnie to fascynuje. To są ostatnie chwile, żeby odkrywać tradycje winiarskie tych terenów. Sprzedawane są kolejne działki, karczowana jest roślinność, powstają nowe budynki. Staram się odnajdywać i badać stare odmiany winorośli tam, gdzie to jeszcze możliwe - podkreśla P. Kurtyka.

Nie wiedzą, co się im nie po ścianie

Odwiedził kilkanaście miejsc w Gorzowie i okolicach. Pozostałości winnic odnalazł m. in. w Starym Kurowie, Lubniewicach, Jamnatowie, Marwicach, Mysliborzu, Kamieniu Wielkim.

- Najczęściej jedyną pozostałością są pojedyncze, stare krzewy, pnące się po elewacjach budynków. We wsiach można spotkać budynki z przełomu XVIII i XIX wieku. Mieszkańcy często nie wiedzą, że są tak stare, bo zostały otynkowane, przebudowane. W tej chwili wyglądają zwyczajnie. Często pną się po nich winorośle, które pamiętają czasy, gdy w pobliżu istniała winnica. Ludzie nie uprawiali krzewów tylko na polach, ale też na południowej ścianie domu, żeby mieć owoce w zasięgu ręki. Aby posadzić taki krzew przy domu, udawano się na winnicę i proszono o kilka sztabrów (zdrewniane pędy służące do nasadzeń - przyp. red.) na namnożenie. W międzyczasie winnica została wy-

karczowana, teren stał się polem uprawnym albo sadem, a ten krzew przy budynku rośnie do dziś - wyjaśnia badacz. Zrozumów z mieszkańcami takich budynków wynika, że najczęściej nie mają pojęcia, iż winorośl ma prawdopodobnie tak stary i ciekawy rodowód.

- Byli gospodarze, którzy planowali wyciąć krzewy, ale po rozmowie ze mną zmienili plany - przyznaje pan Paweł. Zresztą, nawet jeśli roślina zostanie wycięta, to może odrosnąć. Jej korzenie sięgają kilkadziesiąt metrów w głąb ziemi. - Chodząc na spacerzy zawsze spoglądam na elewacje budynków w poszukiwaniu krzewów - śmieje się nasz rozmówca.

Miał winnicę i... wielbłądy

Stare Kurowo jest jedną z najciekawszych lokalizacji, jaką odwiedził. Założone przed wiekami winnice działały tutaj jeszcze po II wojnie światowej. Znana jest nawet dokładna data złożenia starokurowskich winnic. W 1773 zrobił to Franz von Brenkenhoff, czyli człowiek, który był organizatorem przekopu Kanału Bydgoskiego, rozpoczął akcję osuszania błot noteckich, a później warciańskich. W wyniku tej ostatniej akcji powstała kraina nazywana dziś Nową Ameryką. Uważany był za ekscentryka m. in. dlatego, że... w Gardzku hodował wielbłądy.

- W listach do króla pruskiego pisał, że od Bydgoszczy, przez Czarnków, Trzciankę, Gorzów aż po Kostrzyn są suche, południowe stoki, które wówczas nie dawały nic, a mogą być wykorzystane na uprawę winorośli. Sam takie winnice zakładał i próbował zachęcić do tego innych - mówi P. Kurtyka.

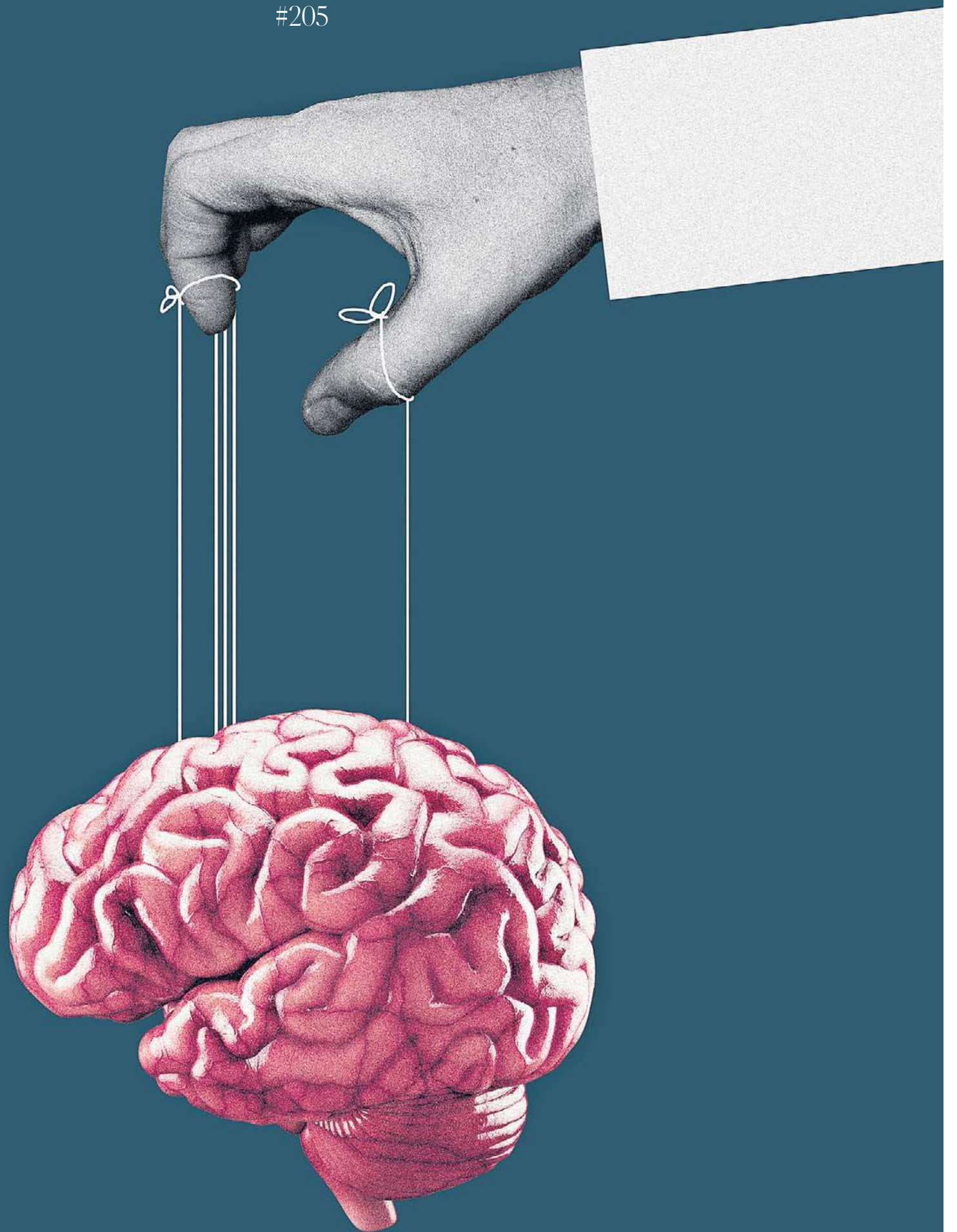
Tradycje winiarskie nie przepadną

Podczas swoich podróży po północnej części Lubuskiego pobrał 50 próbek winorośli. Ich DNA jest obecnie badane w niemieckim instytucie. Wyniki mają odpowiedzieć na pytania o odmiany poszczególnych krzewów. Pan Paweł najciekawszym będzie chciał posadzić w swojej santockiej winnicy i kultywować winiarskie tradycje tych terenów. Pierwsza odmiana będzie sadzona już w tym roku. To Kleberoth, która rosła na tych terenach w średniowieczu. Już wtedy był chwalony jako dobrze owocujący szcep z którego wytworzano dobre czerwone wino.

W planie jest też wydanie pierwszej książki o tradycjach winiarskich Gorzowa i okolic. Niedawno na YouTube ruszył kanał, na którym będą prezentowane m. in. wyniki poszukiwań zapomnianych winnic. Znaleźć go można wpisując „Winnica w Nowej Marchii - dawniej i dziś”. - Chcemy się dzielić naszą wiedzą i tym, co odkryliśmy - podsumowuje pan Paweł.

PULS

#205



Str. 16-17
Gdzie się czAI – AI?

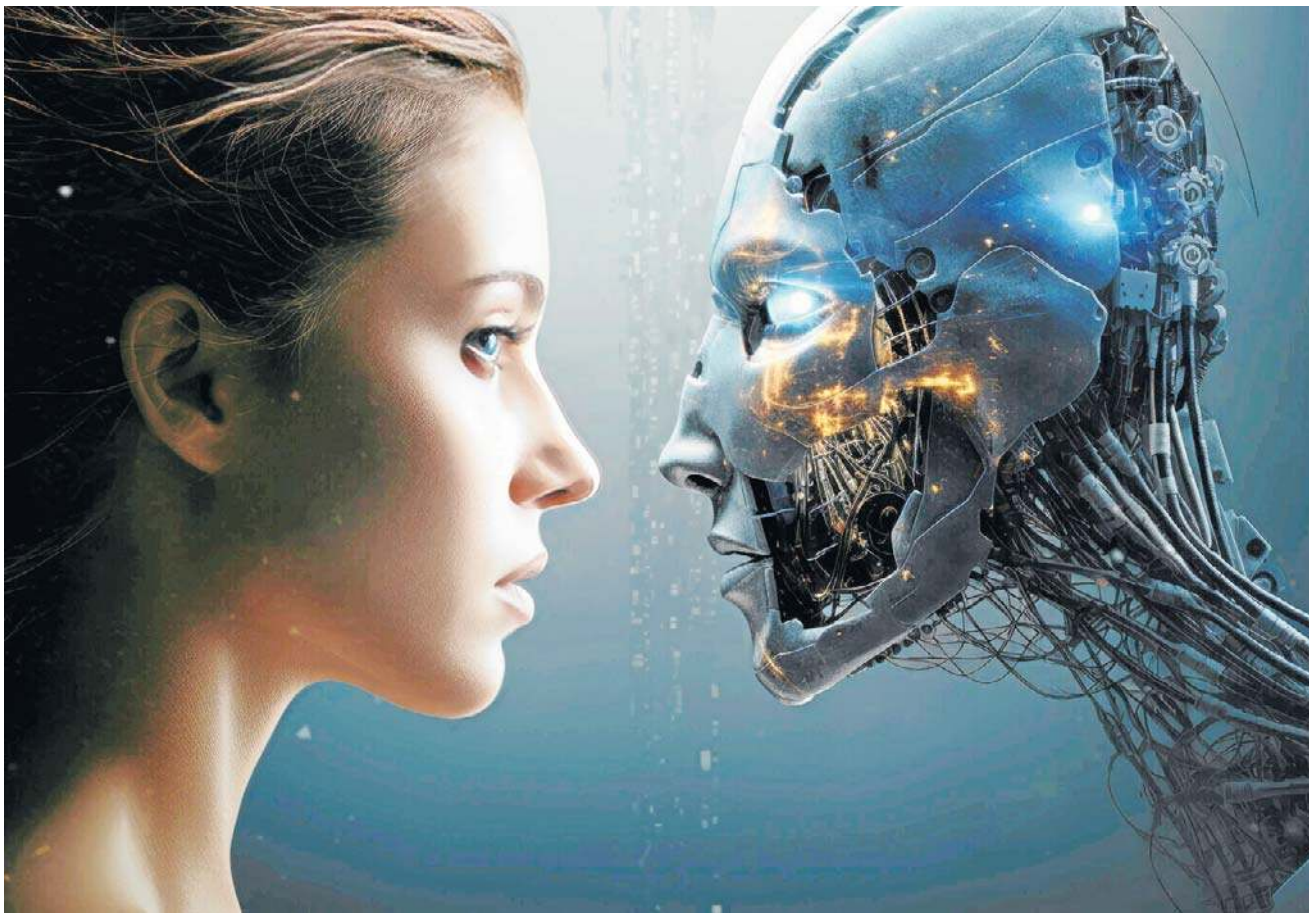
W filmie „Poland. Mission Confidence”, zrealizowanym na zlecenie Fundacji Roberta Dobrzyckiego, zapowiada pan stworzenie w naszym kraju sztucznej inteligencji bardziej dostosowanej do potrzeb człowieka. Co konkretnie ma pan na myśli?

Miałem na myśli konkretny projekt, który zgłosiliśmy do konkursu w programie Horyzont Europa, w ścieżce Research and Innovation Action (RIA). Niestety, dofinansowanie dostały inne dwa albo trzy projekty; duże, rzędu 20 mln euro. Nasz projekt też był duży: 31 partnerów, z czego kilku z Polski. Chodziło o stworzenie systemu opartego na sztucznej inteligencji, który wspomagałby opiekę zdrowotną poprzez analizy, jak i wsparcie pracowników ochrony zdrowia. To miało być rozwiązanie, które dałoby się szeroko wdrażać w całej Europie. Brała w tym udział Fundacja Global Artificial Intelligence i liczne instytuty związane ze zdrowiem. Liderem była grupa z Heidelbergu. Takich inicjatyw jest dziś zresztą więcej. Na przykład kończymy też projekt związany z konkursem ogłoszonym przez firmę Dell; można było wygrać mikrosuperkomputer oparty na kartach NVIDIA. Zgłosilo się 630 bardzo różnych projektów. Pokazują one jedną rzecz: rośnie zapotrzebowanie na AI, która zachowuje prywatność i działa lokalnie. A do tego takie podręczne superkomputery bardzo się przydają. Zastosowań jest mnóstwo: od odciążania biurokracji, przez analizy i dokumentację medyczną, po nagrywanie i analizę sesji medycznych czy wsparcie w psychiatrii. Są projekty wspomagające terapię, ale też bardziej naukowe, na przykład z obszaru genomyki. Są też bardzo praktyczne zastosowania. Prawnicy są dziś bardzo zainteresowani AI, jeśli chodzi o wyszukiwanie informacji i wspomaganie pisanie dokumentów, które jest uciążliwe, a często schematyczne. AI może tu przynajmniej przygotować dobry szkic. Do tego dochodzi wsparcie seniorów, walka z dezinformacją, zastosowania biznesowe, ale też pomoc osobom z niepełnosprawnościami, na przykład wsparcie osób niewidomych czy rozwiązania związane z językiem migowym. Naprawdę bardzo dużo się dzieje.

Co oznacza fakt, że projekt przepadł w konkursie i nie dostanie dofinansowania? Co się teraz z nim stanie? Upadnie? Mam nadzieję, że nie. Na 12 możliwych punktów dostaliśmy 9,5 punktu, więc byliśmy tylko trochę poniżej kreski. To nie była więc bardzo krytyczna ocena. Trzeba też pamiętać, że projekt z udziałem 31 instytucji

Nie nadejdzie jedna wszechmocna AI, która zrobi wszystko za nas. Największa szansa dla Polski nie leży w kopiowaniu globalnych gigantów, lecz w budowaniu własnych rozwiązań dla medycyny, administracji, edukacji i biznesu – mówi prof. Włodzisław Duch

Anita Czupryn



Prof. Duch: Wszystkich zadziwia to, jak szybko AI rozwinęła się w ostatnich kilku latach

POLSKA W EPOCE AI. PROF DUCH: SZANSA JEST, ALE ŚWIAT NIE BĘDZIE CZEKAŁ

z całej Europy bardzo trudno się pisze. Trudno zebrać wszystkie informacje, dopilnować terminów i utrzymać spójność całości. Zresztą, z częścią uwag oceniających się zgadzam; pewnych rzeczy rzeczywiście brakowało, bo projekt był organizowany dość późno. Ale jeśli ma się taką grupę partnerów, i to silnych partnerów z całej Europy, to można ten potencjał wykorzystać przy kolejnych konkursach. Dziś szanse w niektórych programach spadają poniżej 10 proc., więc nie należy się dziwić po-

rażkom. Trzeba po prostu próbować dalej.

Jak się panu podoba projekt polskiej sztucznej inteligencji, Bielik?

W Polsce jest teraz kilka takich projektów. Bielik robi chyba najwięcej szumu, bo ma charakter społecznościowy. Ale projektem wspieranym przez państwo jest przede wszystkim PLluM, tworzony głównie przez ludzi z Wrocławia i Łodzi, a także przez OPI, czyli instytut badawczy podlegający bezpośrednio Ministerstwu

Nauki. To projekt, który ma dziś największą szansę na szerokie zastosowanie w administracji publicznej. Aplikacja mObywatel będzie korzystała z wirtualnego asystenta opartego na PLluM-ie, chatboty w ministerstwach też mają być na nim oparte. Sporo usług dla obywateli, na przykład upraszczanie dokumentów urzędowych czy prawniczych, ma być wspomaganym właśnie w ten sposób. Bielik jest jednak bardzo ważny, bo to inicjatywa oddolna. Wykonano tam ogromną pracę i jestem

pod wrażeniem tego, co udało się zrobić. To również rodzina modeli językowych. Twórcy próbują pokazać, że ich rozwiązania mogą liczyć się w benchmarkach modeli otwartych i zaczynają konkurować z innymi. A trzeba pamiętać, że dużych modeli językowych w Europie jest bardzo mało. Poza francuskim Mistralem, który regularnie pojawia się w ważnych benchmarkach, europejskich modeli w czołówce właściwie prawie nie widać. Bielik ma tu pewną szansę. To bardzo ambitny projekt,

w który zaangażowało się sporo osób. Interesuje się nim także Ministerstwo Cyfryzacji. Twórcy znaleźli też partnerów, m.in. InPost i wsparcie Google Cloud, więc jest szansa, że będzie to dość niezależny projekt rozwijany na większą skalę. A plany są ambitne: kolejne, bardziej zaawansowane wersje Bielika, w tym wersja wielojęzyczna, a także narzędzia do wykrywania zagrożeń, mowy nienawiści i podobnych zjawisk. To naprawdę bardzo ciekawy kierunek.

Panie profesoro, oglądając pana we wspomnianym filmie usłyszałam, jak powiedział pan, że nadchodzą takie czasy, które będą bardzo sprzyjać temu, by warto było w Polsce pracować i inwestować. Co temu sprzyja akurat teraz?

Przed wszystkim to, że sztuczna inteligencja stwarza dziś bardzo duże możliwości. I nie chodzi o wizję, że nagle pojawi się jakaś superinteligencja AGI, która wszystko za nas załatwi. Raczej o coś odwrotnego: o bardzo konkretne, lokalne zastosowania. Kiedy rozmawiam z firmami, słyszę przede wszystkim: zależy nam na prywatności, na tym, żeby dane nie wyciekały, żeby niezależnie się od chmury, nie chcemy opierać się wyłącznie na wielkich zewnętrznych systemach. Stąd m.in. konkurs firmy Dell, o którym wspominałem. Dziś można kupić superkomputer, który pozwala realizować projekty oparte na modelach językowych mających nawet 200 miliardów parametrów. To już są duże modele. Nasze mają zwykle mniej niż 100 miliardów parametrów, ale dzięki lokalnej mocy obliczeniowej można realizować mnóstwo projektów na miejscu. Poza Bielikiem i PLluM-em rozwija się zresztą kilka innych inicjatyw. Jest np. QRA, stworzona przez Politechnikę Gdańską we współpracy z Ośrodkiem Przetwarzania Informacji Państwowym Instytutem Badawczym. Jest też TRURL, rozwijany przez Voice-Lab.ai, z nimi również współpracowaliśmy. Działa także Polska Platforma Głosowa dla Biznesu i Administracji. Liczyliśmy również na powstanie tzw. fabryk AI, czyli infrastruktury, która pozwalałaby trenować duże systemy i szeroko je udostępniać. To mogłoby wesprzeć wiele sektorów: od energetyki i prawa po biznes i medycynę. Szczególnie liczyliśmy na większe projekty wspierające instytucje medyczne, także w zakresie zbierania i analizy danych. To jednak idzie dość wolno. Problemem są m.in. gwałtowne wzrosty cen pamięci. Do tego stopnia, że część projektów może być zagrożona. Wynegocjowaliśmy dobre ceny, ale zanim ruszyły procedury przetargowe na uniwersytecie, ceny wzro-

sły tak bardzo, że dziś możemy kupić jedną piątą tego, co planowaliśmy.

Od 36 lat zajmuję się pan sztuczną inteligencją. Co dziś najbardziej pana zadziwia w jej rozwoju?

Wszystkich zadziwia to, jak szybko wszystko rozwinęło się w ostatnich kilku latach. Przez długi czas postęp był bardziej stopniowy; mieliśmy systemy ekspertowe, które do pewnych rzeczy się nadawały. Ale nagle pojawienie się systemu, z którym można było po prostu rozmawiać, mam na myśli rozwiniętego czata, powiedzmy od wersji GPT-3 wzwyż, i to, że projekty zaczęły być błyskawicznie upowszechniane, było naprawdę zaskakujące. Bardzo szybko okazało się, że jeden czat OpenAI ma setki milionów użytkowników, a dziś skala tygodniowa sięga miliarda; do tego dochodzi kilka innych konkurencyjnych systemów: Gemini, Claude, Grok, Perplexity, Llama, Mistral, DeepSeek. Krótko mówiąc: stało się to masowe. Ludzie zaczęli używać modeli językowych w tak różnych zastosowaniach, że to było pełnym zaskoczeniem. Po pierwsze, nie spodziewaliśmy się, że można osiągnąć aż tyle, w szczególności, że de facto zostanie przekroczona granica kojarzona z testem Turinga. Przez lata opowiadałem studentom na wykładach o Nagrodzie Loebnera, że co roku jest trochę lepiej, ale wciąż ludzie potrafią odróżnić rozmowę z człowiekiem od rozmowy z botem. I nagle, właściwie po cichu, test Turinga przestał być centralnym punktem odniesienia, bo okazało się, że ludzie bardzo często dają się nabrać i sam test stracił dawny sens. Druga rzecz: mniej więcej od półtora roku zaczęły się pojawiać systemy rozumujące w szerokich obszarach, nie tylko w szachach czy w Go, gdzie poziom nadludzki osiągnięto już około dekady temu, ale znacznie szerzej. Nagle okazało się, że jesteśmy w stanie dochodzić do wyników ponadludzkich w wielu dziedzinach. Są też problemy, które po prostu przekraczają możliwości ludzkiego umysłu, jeśli chodzi o ogarnięcie całej złożoności. Na przykład zrozumienie tego, co dzieje się w komórce, gdzie tysiące białek oddziałują ze sobą i współpracują. Procesy biologiczne są tak złożone, liczba typów białek, genów, zależności tak skomplikowane, że bez sztucznej inteligencji daleko byśmy nie zaszli. Widzimy też, że pojawiły się Nagrody Nobla związane z rozwojem sztucznej inteligencji i jej zastosowaniami, z konieczności w fizyce i chemii niż w samej informatyce, gdzie Nagrody Nobla nie można dostać. To również pokazuje skalę zmiany. Tak, że zaszliśmy tak szybko tak daleko

i że dziś mówimy o szansie rozwiązywania najbardziej złożonych problemów matematyki, fizyki, chemii, biologii czy medycyny dzięki takim systemom, to jest dla mnie najbardziej fascynujące. Zresztą organizujemy panel dyskusyjny z Piotrem Sankowskim, Przemkiem Kazienką, Przemkiem Bieckiem i matematykiem Bartoszem Naskręckim. Będziemy rozmawiać o tym, jak nauka zmienia się już teraz pod wpływem AI i jak jeszcze się zmieni.

To jak zmieni się nasza rzeczywistość w perspektywie dwóch-pięciu lat? Jedni straszą, że AI zabierze pracę, inni mówią, że stworzy nowe zawody. Co zabierze, co da i jak praktycznie zmieni nasze życie?

Bardzo trudno odpowiedzieć na to pytanie, bo świetni eksperci mówią rzeczy skrajnie różne. Jedni twierdzą, że AI zabierze nam pracę, inni, że właśnie dzięki niej wejdziemy w bardzo dobry okres, bo dostaniemy narzędzia do rozwiązywania problemów, z którymi sami sobie nie radzimy. Ja obserwuję np. zwolnienia w dużych firmach informatycznych. Cotygodniowe raporty pokazują, że w ostatnim roku niewiele się zmieniło względem poprzednich lat. Była duża korekta po COVID-zie; wtedy firmy zatrudniły zbyt wiele osób, a później część zwolniły, ale od dwóch-trzech lat sytuacja jest dość stabilna. To ciekawe, bo jednocześnie wiele osób uważa, że młodzi programiści zaraz staną się mniej potrzebni, skoro mamy programowanie wspomaganie przez AI, tzw. vibe coding. Tyle że teraz piłka jest po naszej stronie: musimy tak kształcić młodych ludzi, by umieli korzystać z tych narzędzi i robić dzięki nim więcej. Jeśli będą do tego przygotowani, nadal będą potrzebni. Możliwości zastosowania systemów informatycznych szybko rosną i pojawiają się nowe obszary pracy. Owszem, prostsze zadania, np. część prac przy tworzeniu stron internetowych, można dziś zautomatyzować. Ale człowiek wciąż jest potrzebny do zrozumienia rzeczywistego problemu klienta, kontekstu i celu. Można powiedzieć, że powoli przestajemy być murarzami, a stajemy się architektami tych rozwiązań. Architektów potrzeba mniej niż murarzy, ale dzięki nim można zbudować znacznie więcej. Dlatego nie widzę powodu do paniki w skali, w jakiej niektórzy ją dziś podsycają. Zagrożenia oczywiście są realne i jest ich sporo, ale nad ich rozpoznaniem i ograniczeniem również się pracuje.

Film „Poland. Mission Confidence” powstał po to, by zmienić sposób, w jaki Polacy

myślą o sobie i o Polsce. Jak pan to widzi? Czy takie projekty, o których pan mówił na początku rozmowy, mogą być impulsem do zmiany naszego myślenia o kraju, który jest przecież dwudziestą gospodarką świata i mówiąc wprost, ma się czym pochwalić?

Mamy w Polsce duże słabości, bez wątplenia. Widać to choćby w różnych wskaźnikach dotyczących innowacyjności, patentów i podobnych obszarów. Z drugiej strony mamy też bardzo zdolnych ludzi, którzy potrafią robić rzeczy niezwykle. Część z nich, niestety, pracuje za granicą – w dużych firmach, takich jak OpenAI czy Google DeepMind, a nawet współtworzyła niektóre z tych środowisk. Świetną pracę wykonuje dr Maciej Kawecki ze swoim zespołem i podcastami, pokazującymi, że Polak potrafi. Problemem w tym, że te możliwości dość słabo przekładają się na sprawczość administracji państwowej. Ona jest ograniczona na wiele sposobów i po prostu zbyt wolna. Gdybyśmy nie stracili pół roku na biurokrację i przetargi, moglibyśmy kupić za pieniądze, które były już zabezpieczone, całkiem przyzwoity system, bardzo nam potrzebny. Tymczasem świat tak przyspieszył, a popyt na sprzęt i pamięci tak wzrósł, że ceny poszybowały w górę. To pewnie potrwa rok albo dwa, ale skutek jest taki, że jesteśmy opóźnieni.

Problemem nie jest tylko brak pomysłów, ale tempo działania państwa?

Dokładnie. Próbowaliśmy o tym rozmawiać z Ministerstwem Cyfryzacji. Zaprosił nas nawet premier Donald Tusk, jako grupę informatyków działających w komitecie, w którym są osoby z tzw. listy Stanforda 2 proc., czyli grona najczęściej cytowanych naukowców na świecie. Tyle że rząd zdążył już wcześniej rozdysonować środki. I kiedy mówimy, czego naprawdę potrzeba, na przykład dobrych programów doktorskich, to okazuje się, że trudno teraz znaleźć na to pieniądze. Być może pojawiają się w kolejnym rozdaniu środków europejskich, ale znów jesteśmy spóźnieni. W 2018 roku, po apelu Komisji Europejskiej, że AI to technologia strategiczna, wiele krajów bardzo przyspieszyło: tworzone katedry, finansowano zespoły, budowano zaplecze. U nas zrobiono za mało. Straciliśmy poprzednie lata, a w ostatnich dwóch również nie widać przelomu na miarę potrzeb, choć oczywiście sporo rzeczy dzieje się oddolnie. To mnie naprawdę martwi.

Bez zmiany filozofii finansowania trudno będzie zrobić skok?

Tak i to dotyczy również edukacji. Słyszymy o pracownikach AI w szkołach, na które wydaje się duże pieniądze, ale nie widać dobrze opracowanych programów, które pokazywałyby, jak sensownie wykorzystywać te narzędzia na lekcjach różnych przedmiotów. A możliwości są ogromne. Na przykład bardzo dynamicznie rozwija się dziś historia cyfrowa; dzieją się tam naprawdę ciekawe rzeczy, o których wielu nauczycieli i historyków nawet nie wie. I znowu wracamy do tego samego problemu: brakuje ludzi przygotowanych do tego, żeby to ruszyć, przeszkolić nauczycieli, stworzyć materiały, wdrożyć dobre praktyki. W wielu obszarach mamy więc nie tyle brak pomysłów, ile brak kadr zdolnych to popchnąć do przodu.

Ten problem widać też na poziomie uczelni?

Oczywiście. Chirnczy przez lata wysyłał mnóstwo studentów do Stanów Zjednoczonych, a potem ci ludzie wracali i rozkręcał rynek u siebie. Podobnie obserwowałem Portugalię: kraj mniejszy od Polski i pod wieloma względami słabszy, a jednak w tym obszarze rozwija się całkiem dobrze, bo wykonano pewne inwestycje i zbudowano kompetencje. Miałem niedawno okazję otwierać rok akademicki w Akademii Muzycznej w Bydgoszczy i pytałem tam, czy uczą np. takich rzeczy jak muzyka filmowa i zastosowania sztucznej inteligencji w sztuce. Muzyka filmowa to dziś jeden z kluczowych obszarów; produkcja opiera się na zaawansowanych narzędziach elektronicznych, a ich opanowanie wymaga czasu i dobrego wprowadzenia. Tyle że znów wracamy do tego samego: brakuje nauczycieli. Uczelnie często chciałyby rozwijać takie kierunki, ale nie mają kogo do tego postawić. To, co AI robi dziś w obszarze kreatywności artystycznej, muzycznej, wizualnej, ma już konkretne zastosowania rynkowe. Można na tym zarabiać. Do tego dochodzi branża gier, która rozwija się bardzo dobrze, i tam AI wchodzi na dużą skalę. Mieliśmy niedawno w Poznaniu dużą konferencję gamedev, rozwoju gier komputerowych, i było wyraźnie widać, jak wiele jest zastosowań AI do wspomaganie tworzenia i rozwoju gier. To się właśnie zaczyna dziać na szeroką skalę. Krótko mówiąc: możemy mieć szansę w różnych niszowych zastosowaniach, a takich nisz jest bardzo dużo. Duże firmy chcą nam sprzedać własnego awatara czy asystenta, który będzie w każdym telefonie, dlatego budują ogromne centra danych i centra AI do obsługi miliardów użytkowników. Tylko pytanie brzmi: czy my naprawdę tego chcemy?

Wyobraźmy sobie, że jest grudzień 2029 roku, za chwilę wchodzimy w rok 2030. W jakiej jesteś sytuacji? Czy potrafi pan sobie wyobrazić, jak zmienił się nasz telefon, nasza praca, urząd, szkoła?

W 2000 roku przygotowałem taki referat futurologiczny i napisałem, że w połowie tej dekady będzie nam brakowało psychologów od modeli sztucznej inteligencji. I mam wrażenie, że taki zawód właśnie zaczyna się pojawiać. Psychologowie rzeczywiście badają dziś różne aspekty działania dużych modeli językowych, bo dzieją się tam bardzo ciekawe, a czasem dziwne rzeczy. To, co zaczyna się teraz i co w tym roku już zobaczymy, to przede wszystkim inwazja agentów różnego rodzaju. Czyli systemów, które nie tylko odpowiadają na pytania, ale są sprawcze. Możemy im zlecać wykonanie konkretnych zadań po prostu rozmawiając. Ogromne znaczenie będzie miało to, kto nauczy się dobrze z nimi rozmawiać: zadawać precyzyjne pytania, jasno określać kontekst, formułować polecenia. Oczywiście same systemy też będą nas coraz częściej dopytywać, żeby lepiej zrozumieć, o co chodzi. Ale najważniejsze jest to, że w ciągu najbliższych miesięcy zobaczymy agentów, którzy będą w stanie załatwiać za nas naprawdę wiele spraw. Z tym trzeba być bardzo ostrożnym, ale ich sprawczość będzie rosła. Pojawiają się nawet rozwiązania w rodzaju „wynajmij człowieka dla agenta”. Są platformy, do których zgłosiły się setki tysięcy osób gotowych wykonywać zadania, których agent, dopóki nie ma fizycznego ucieleśnienia, nie jest robotem, jeszcze nie potrafi sam zrobić. Bo czasem trzeba gdzieś pójść, coś odebrać, załatwić dokument, zdobyć papier z urzędu, który nie jest jeszcze dobrze z informatyzowany. W Polsce nadal są obszary administracji czy sądownictwa, które nie działają cyfrowo w takim stopniu, jakiego byśmy oczekiwali. Pojawiają się więc firmy, które mówią: dobrze, damy państwu sprawczą sztuczną inteligencję, ale tam, gdzie są luki, będziemy dopinać proces człowiekiem.

A więc jednak, na szczęście, człowiek pozostaje niezbędny. Choć często w roli bardziej wykonawczej niż zarządzającej. Oczywiście po drugiej stronie nadal jest też człowiek, który takim agentem zarządza albo go nadzoruje. Ale ten model agent plus człowiek tam, gdzie trzeba, będzie się rozwijał na dużą skalę. Nasz telefon nie będzie już tylko doradzał. Coraz częściej będzie też w stanie, na podstawie naszych poleceń, dopro-

wadzać do wykonania różnych rzeczy także w świecie fizycznym.

Wchodzimy w etap, w którym AI zacznie wychodzić z ekranu?

Dokładnie. Bardzo szybko rozwija się robotyka. Było to widać choćby przy ostatnich pokazach związanych z Chińskim Nowym Rokiem. Mieliśmy też niedawno spotkanie poświęcone AI, podczas którego oglądaliśmy kilka robotów; przyjechały m.in. z Nowego Sącza, z Rzeszowa, z Politechniki Rzeszowskiej. To naprawdę zaczyna się rozwijać. Te roboty nie są już skrajnie drogie, choć oczywiście nadal kosztują sporo. Bardziej zaawansowane modele to duży wydatek. Ale sam fakt, że stają się dostępne, jest bardzo istotny. Zaczyna się era tego, co można nazwać fizyczną implementacją sztucznej inteligencji, czyli wykorzystaniem AI na większą skalę w urządzeniach fizycznych. I to będziemy widzieć coraz wyraźniej.

A co to będzie oznaczało dla zwykłych użytkowników?

Między innymi to, że pojawi się cała fala nowych urządzeń konsumenckich. Słychać już, że z Chin nadchodzi seria zabawek wyposażonych w modele językowe. I tu pojawia się sporo zagrożeń. Musimy bardzo uważać, co takie systemy będą z nami robiły i czy będziemy wystarczająco asertywni, żeby nie ulegać różnym formom manipulacji, które mogą pojawić się na dużą skalę. To będzie jeden z najważniejszych problemów najbliższych lat: nie tylko, co AI potrafi, ale też jak my jako użytkownicy i społeczeństwo, nauczymy się z nią mądrze obchodzić.

CV



Włodzisław Duch

Profesor nauk fizycznych specjalizujący się w informatyce stosowanej, neuroinformatyce, sztucznej inteligencji, uczeniu maszynowym, kognitywistyce i neurokognitywnych technologiach. Jest kierownikiem Laboratorium Neurokognitywnego w Interdyscyplinarnym Centrum Nowoczesnych Technologii UMK w Toruniu.

Umowa Mercosour została skierowana do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Polscy rolnicy mają powód do zadowolenia?

Skierowanie tej umowy do TSUE ma za zadanie sprawdzić jej zgodność z przepisami prawa unijnego. Ale też zgodność z traktatami i to, jaki będzie ona miała wpływ na przyszłość funkcjonowania Unii Europejskiej.

Czy można mieć zatem nadzieję, że napływ taniej żywności do Polski zostanie zablokowany?

To jest postępowanie, które sprawdza zgodność umowy z zasadami sprawiedliwości Unii Europejskiej. My w tej sprawie cały czas działaliśmy dwutorowo. Od początku chcieliśmy zablokować umowę z krajami Mercosour, a później - widząc już, że nie ma możliwości zbudowania mniejszości blokującej - podjęliśmy działania, żeby wprowadzić klauzule ochronne, pewien hamulec bezpieczeństwa. Po to, aby chronić przyszłość polskich, ale też europejskich rolników i przetwórców.

Nie jest tajemnicą, że polska żywność musi się bronić. Wprowadzone niedawno obowiązki flagowanie warzyw i owoców to kolejny krok ku temu?

Z jednej strony mamy flagowanie owoców i warzyw, które są sprzedawane luzem, i oznaczenie półek, a z drugiej strony jest pełna informacja na opakowaniu. Ale to też dwie duże akcje informacyjne, które prowadzi Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi wspólnie z Krajowym Ośrodkiem Wsparcia Rolnictwa. Pierwsza to #Kupuj świadomie, która odwołuje się do świadomego wyboru konsumentów, do tego, żeby analizować etykiety, sprawdzać, skąd dany produkt pochodzi, jaką drogę przebył, co zawiera. Kolejna, #Produkt polski z flagą biało-czerwoną, jest gwarantem tego, że produkt powstał na miejscu, nie przyjechał z obcego kraju, obcego kontynentu. Cały czas odwołujemy się do wyboru konsumentów, bo tak naprawdę to oni decydują ostatecznie, jakie produkty znajdują się w ich koszykach i na ich stołach.

Jak już mówimy o polskich produktach, to nie mogą nie zapytać o otwarcie nowych rynków na polskie produkty. Czy coś nowego pojawiło się w tym temacie?

Podjęliśmy działania, żeby ekspansję na rynki zewnętrzne zwiększać i są już tego efekty. Wartość eksportu produktów rolnych w 2025 roku była rekordowa i jej wartość wyniosła 248 miliardów złotych, co stanowi już 16 proc. całego naszego eksportu. Nadwyżka

MINISTER STEFAN KRAJEWSKI: JA BRONI NIE SKŁADAM

O umowie Mercosour, obowiązkowym flagowaniu warzyw i owoców, walce o rekordowy budżet oraz o zniesieniu barier w handlu z Australią i otwarciu nowych rynków na polskie produkty rozmawiamy z ministrem rolnictwa Stefanem Krajewskim

Martyna Jurkowska

w tym bilansie handlowym eksportu nad importem to prawie 20 miliardów euro, a to oznacza zwiększenie o prawie 2 miliardy w porównaniu z rokiem 2024. To odblokowanie rynku filipińskiego dla polskiej wieprzowiny, odblokowanie rynku Malediw dla polskiej wołowiny, szukanie rynków zbytu. Ale jeszcze raz podkreślę to, co ważne - żebyśmy zwiększali konsumpcję naszych polskich produktów. Wtedy nie będziemy musieli importować, ale też nie będziemy musieli zwiększać eksportu. Oczywiście mamy dużą nadwyżkę, bo jesteśmy krajem samowystarczalnym, jeśli chodzi o produkcję żywności, ale jesteśmy jednym z wiodących eksporterów żywności w Unii Europejskiej i na świecie i to dalej rozwijamy. Rozmowy w Brukseli dotyczą też choćby otwarcia rynku brazylijskiego dla polskich jabłek, czy też szukania nowych rynków zbytu. W planach jest wyjazdowa misja handlowa komisarza rolnictwa, w której uczestniczyć będą też polskie firmy i polscy producenci, którzy chcą otwierać się np. na rynek Tajlandii, czy inne rynki na świecie.

Jak już mówimy o Brukseli, to musimy zapytać o kwestie związane z budżetem na rolnictwo po 2027 roku. Czy w tym temacie możemy być optymistami, że do Polski wpłyną duże środki?

Tak naprawdę walka o budżet dopiero się rozpoczęła. To są uzgodnienia, ale walczymy o to, żeby ten budżet dla Polski był rekordowy. Też w tym budżet na rolnictwo, na obszary wiejskie, na podnoszenie konkurencyjności i odporności polskiego rolnictwa, na przetwórstwo. Rozmawiamy o kwocie ponad 43, prawie 44 miliardów euro, które mają popłynąć na polską wieś, na polskie rolnictwo. Nie ustąpimy w tej walce. Żeby te środki były



Min. Krajewski: Nikt nie zamierzał i nie zamierza rugować małych rolników, którzy prowadzą swoje gospodarstwa

jak największe, nasze potrzeby będą na pewno mocno artykułował. Polska doskonale wykorzystwała szansę obecności w Unii Europejskiej, musimy to dalej utrzymać i rozwijać. Mamy ogromny potencjał, bo przecież polska żywność i polskie rolnictwo są naszą marką. Bardzo cenioną i rozpoznawalną na świecie, ale to wciąż potrzebuje wsparcia i o to zabiegamy.

Nie jest tajemnicą, że Komisja Europejska negocjuje kolejne porozumienie - tym razem o zniesieniu barier w handlu z Australią. W Polsce najbardziej zagrożoną grupą mogą być producenci wołowiny. Czy mają się czego bać?

Wszystko to analizujemy. Z jednej strony wiemy, że Australia

to jest duży producent wołowiny i jagnięciny, z drugiej strony docierają do nas też sygnale, że rolnicy z Australii także obawiają się tej umowy, bo jako Polska i Europa możemy im zagrazać w kwestii mleczarstwa. Cała Europa odpowiada przecież za 31 proc. światowej produkcji artykułów mleczarskich. Nasze mleczarstwo polskie mamy na najwyższym poziomie, zbudowane przez lata w oparciu przede wszystkim o spółdzielczość, która się sprawdziła. I która jest dowodem na to, że można zorganizować się i wykorzystywać tę przewagę związaną ze współpracą wśród rolników i zakładów.

Przygotował pan projekt podniesienia premii dla młodych

rolników z 200 tys. zł do 300 tys. zł. Na czym ma to polegać i dlaczego jest tak ważne?

Zwiększenie premii dla młodych rolników z 200 do 300 tysięcy złotych miałyby objąć rolników, którzy deklarują - oprócz produkcji roślinnej - także produkcję zwierzęcą. Jeżeli mówimy o odtwarzaniu hodowli, o jej wzmocnieniu, to dzisiaj potrzeba dodatkowych środków dla tych właśnie rolników, bo te gospodarstwa wymagają nie tylko większych nakładów inwestycyjnych, ale też większego zaangażowania pracy i dlatego ta premia powinna w tym przypadku być większa. Te zmiany będą już wchodzić, bo były przedmiotem uzgodnień na Komitecie Monitorującym, uzgodnień z Komisją Europejską.

Prezydent zawetował ustawę o Aktywnym Rolniku, która cytując pana - „miała zakończyć patologie, z którymi wszyscy się kiedyś zgadzali”. Jak pan to skomentuje?

Dziwię się, że doradcy, którzy w 2014 roku wpisywali „Aktywnego Rolnika” do programu wyborczego Prawa i Sprawiedliwości, który miał być elementem wsparcia polskiej wsi, dzisiaj mówią, że jest to złe i niepotrzebne rozwiązanie. Oczywiście, pan prezydent nie musi mieć fachowej wiedzy w obszarze rolnictwa, ale powołał radę i ekspertów, którzy, niestety, źle mu doradzają. Ten postulat był zgłaszany na wielu spotkaniach i protestach. Po to, żeby pieniądze trafiły do rolników aktywnych, czynnych, którzy każdego dnia pracują ciężko w rolnictwie. Żeby ten wpływ ograniczyć do tzw. rolników marszałkowskich, którzy tej działalności nie prowadzą. Dziwi mnie bardzo ta hipokryzja posłów, jak choćby pan Jacek Bogucki, który doskonale zna potrzebę wprowadzenia tych zmian, a dzisiaj opowiada o tym, że ktoś chce jakis agroholding budować i rugować rolników. A przecież nikt nie zamierzał i nie zamierza rugować małych rolników, którzy prowadzą swoje gospodarstwa. Chodzi tylko o to, żeby ta pomoc była dzielona sprawiedliwie, żeby trafiała ona do tych, którzy z jednej strony mają przychód, a z drugiej strony ponoszą koszty związane z prowadzeniem gospodarstwa. To jest bardzo widoczne w województwie podlaskim, ale i w całej Polsce. Zewsząd płynie mnóstwo głosów, że w końcu mógł być zrobiony porządek, ale decyzją pana prezydenta zostało to zablokowane. Ja broni nie składam i będę robił wszystko, żeby te pieniądze popłynęły do aktywnych rolników.

W ostatnich dniach Podlaskie Porozumienie Rolnicze wystosowało petycję w sprawie za-

blokowania wejścia w życie projektu rządowego pn. „Strategia ochrony obszarów wodno-błotnych w Polsce wraz z Planem działań”. Żądają jej zablokowania. Jakie jest stanowisko ministra w tej sprawie?

Jestem za tym, żeby utrzymać te obszary wodno-błotne chronione tam, gdzie nie są użytkowane rolniczo. W województwie podlaskim głównie to są obszary, które stanowią bazę paszową dla producentów bydła mlecznego, producentów mleka i nie powinniśmy tej ziemi z produkcji rolniczej wyłączać. Ale trzeba też pamiętać, że ten temat nie wziął się wczoraj, ale wynika z przepisów, które funkcjonują od lat siedemdziesiątych poprzedniego wieku. Ochrona obszarów wodno-błotnych wynika z Konwencji Ramsarskiej, która została podpisana 2 lutego 1971 roku w Ramsarze w Iranie. Ratyfikowała ją 171 państw i tak naprawdę reprezentują wszystkie regiony geograficzne świata. Wyznaczono wtedy 2372 obszary wodno-błotne o międzynarodowym znaczeniu. Ważne jest, żebyśmy przede wszystkim słuchali rolników. I skoro te obszary w latach sześćdziesiątych XX wieku zostały przygotowane do wykorzystania rolniczego, to nie powinniśmy tego zmieniać. Oczywiście, za ochronę mokradeł nie odpowiada minister rolnictwa, tylko minister klimatu i środowiska poprzez parki narodowe, m.in. Narwiański czy Biebrzański, i one są chronione. Jedno nie musi wyłączać drugiego.

Najnowsze dane GUS oraz rejestrów BIG i BIK wskazują na pogorszenie sytuacji finansowej rolnictwa - spadek cen skupu o 10,9 proc. rok do roku, narastające problemy zadłużeniowe firm oraz szczególnie trudną sytuację producentów trzody chlewnej i mleka. Jak rozwiązać te bolączki?

Sytuacja jest bardzo trudna na całym świecie, dobrze to widzimy. Minister nie ma wpływu w żaden sposób na ceny rynkowe czy na to, jakie są tendencje na rynku. Po to właśnie szukamy nowych rynków zbytu, żeby eksportować i wywozić produkty z Polski. Ale musi być też zachowana pewna cena, żeby to było opłacalne. Nie na wszystkie mamy wpływ, ale staramy się zabezpieczać interes, przygotowywać wsparcie, rozwiązania, kredyty, z jednej strony obrotowe, z drugiej konsolidacyjne, żeby wpływać na poprawę sytuacji rolników. Musimy też pamiętać, że jesteśmy na jednolitym rynku europejskim i nie możemy bez zgody Unii Europejskiej stosować mechanizmów.

Tomasz Bocheński, dyrektor artystyczny Polska Press Grupy, z 31 nagrodami w międzynarodowym konkursie European Newspaper Award

Jury najważniejszego europejskiego konkursu grafiki European Newspaper Award ponownie doceniło prace Tomasza Bocheńskiego, dyrektora artystycznego Polska Press Grupy. W 27. edycji konkursu otrzymał 31 nagród w kilku kategoriach. European Newspaper Award to najbardziej prestiżowa nagroda graficzna branży medialnej w Europie. Tomasz Bocheński po raz kolejny znalazł się wśród jej laureatów, rok temu jury uhonorowało 19 jego prac.

W tym roku międzynarodowe jury otrzymało kilka tysięcy prac z 22 krajów Europy. Spośród nich 11-osobowe międzynarodowe jury wyłoniło zwycięzców.

Laureatem po raz kolejny został Tomasz Bocheński, dyrektor artystyczny Polska Press Grupy, nagrodzono 31 jego prac, w tym okładki w m.in. kategoriach wydarzeniowych: 80 rocznica zakończenia II wojny światowej, czy wybór papieża.

W jury konkursu zasiadali dziennikarze, naukowcy i dyrektorzy artystyczni z Austrii, Szwecji, Danii, Finlandii, Holandii, Portugalii, Szwajcarii i Niemiec. Docenili prace Tomasza Bocheńskiego tworzone dla „Głosu Wielkopolskiego”, „Dziennika Łódzkiego”, „Dziennika Zachodniego”, „NTO” oraz „Polski Metropolii Warszawskiej”, a także wiele okładek magazynu Puls, który w każdy piątek ukazuje się we wszystkich tytułach Polska Press Grupy.

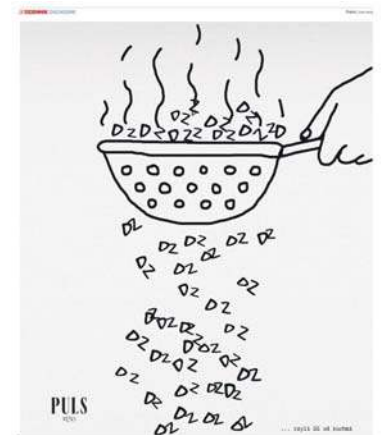
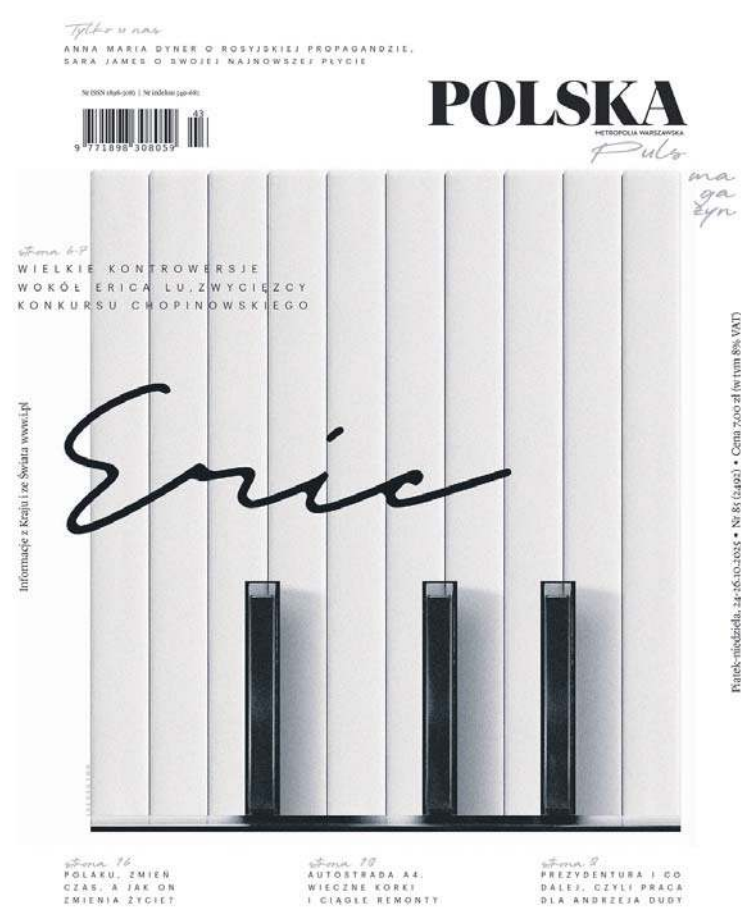
Polska Press to duża firma multimedialna z najważniejszymi serwisami internetowymi w największych polskich miastach. Na tym koncentrujemy naszą działalność. Ale nasze brandy to brandy historyczne, najbardziej prestiżowe w regionach, które swoją wartość budują od kilkudziesięciu lat, a zaczynały w papierze. Wciąż wydajemy gazety codzienne w regionach, bo wciąż są Czytelnicy, którzy cenią sobie taką formę przekazywania

treści. I dla nich zachowujemy najwyższą jakość - także graficzną. Tomasz Bocheński, nasz dyrektor artystyczny, to znakomity symbol połączenia tradycji z innowacjami. Wygrywa konkursy na okładki prasowe, ale jednocześnie na graficzne rozwiązania multimedialne. Taka jest właśnie Polska Press - mówi Marek Twaróg, redaktor naczelny Polska Press Grupy.

Tomasz Bocheński kreuje i współtworzy projekty graficzne gazet, projekty prasowe, projekty online od wielu lat. Wielokrotnie zdobywał najbardziej prestiżowe nagrody w konkursach w Polsce i na świecie, zarówno za prace związane z prasą, jak i projektami internetowymi. W dorobku ma kilkadziesiąt nagród m.in. Grand-Front oraz Chimera Grand Prix, a także zwyciężał w konkursach międzynarodowych: European Newspaper Award oraz Best of News Design - The Society for News Design w USA.

Istotą dobrej okładki prasowej nie jest to, żeby ładnie wyglądała. W moich pracach istotą jest symbolika - czysta, mocna i uniwersalna. Taka, która pozwala Czytelnikowi odczytać całe znaczenie w ułamku sekundy, jeszcze zanim w ogóle otworzy pismo. Bardzo często nie używam na okładce prawie żadnego tekstu - czasami ani jednego słowa. Daję Czytelnikowi obraz, kolor, metaforę i gest. Daję mu znak. A on sam już wie, o co chodzi. Czuje to. Rozumie to. To właśnie uwielbiam w sile grafiki prasowej: potrafić powiedzieć wszystko, nie mówiąc nic - mówi laureat.

European Newspaper Award to najważniejsza w Europie nagroda, przyznawana od 1998 roku artystom i grafikom z branży medialnej.



Ruchu lotniczego nie można zatrzymać, dlatego w pracy Wojciecha Zawady nie ma pauzy. Decyzje podejmuje w sekundach, a odległości mierzy w milach i stopach. Gdy pasażerowie zapinają pasy i zamykają oczy, ktoś na wieży właśnie oblicza prędkość samolotu, drogę i czas. I podejmuje decyzje, od których zależą bezpieczny start i lądowanie.

Jolanta Tęcza-Ćwierz

95 PROC. NUDY, 5 PROC. MAKSYMALNEJ KONCENTRACJI. KULISY PRACY KONTROLERA RUCHU LOTNICZEGO, KTÓRY PILNUJE NIEBA NAD KRAKOWEM



W pracy Wojciecha Zawady nie ma pauzy

Ile samolotów może w danym momencie znajdować się w przestrzeni powietrznej w Polsce, w Europie, na świecie?

Aplikacja Flightradar24 pokazuje, że na świecie w ciągu doby śledzonych jest około 230 tysięcy samolotów. W Europie to około 20 tysięcy dziennie, a w polskiej przestrzeni powietrznej wczoraj obsłużyliśmy około dwóch tysięcy lotów. Przy czym dane dla Europy i Polski dotyczą tylko lotów

komercyjnych. Najkrócej mówiąc: w chwili, kiedy rozmawiamy, w powietrzu jest około 50 samolotów, których miejscem startu lub celem jest Kraków.

Dlaczego, mimo tak dużej liczby samolotów w powietrzu, prawie nigdy nie dochodzi do kolizji?

Lotnictwo jest bardzo ściśle uregulowane i to jest klucz do bezpieczeństwa. Te regulacje, niestety, często „pisane

były krwią”. Historia wypadków lotniczych nauczyła nas, jak pracować lepiej, dlatego dziś latanie jest tak bezpieczne. Mamy rozwinięte systemy bezpieczeństwa i wymiany informacji. Globalnie jesteśmy skomunikowani w ramach różnych instytucji i organizacji, więc każde zdarzenie, czy to w Stanach Zjednoczonych, czy w Australii, jest szczegółowo analizowane, a wnioski trafiają do wszystkich. Dzięki temu możemy

wprowadzać dodatkowe zabezpieczenia i bariery. Bardzo ważna jest też tzw. kultura bezpieczeństwa - nie karzemy za zgłaszanie błędów czy zagrożeń. Wręcz przeciwnie: zależy nam, by zgłoszeń było jak najwięcej. System raportowania i analizy działa tak, żeby wychwycić potencjalne problemy, zanim dojdzie do tragedii. Pracuje nad tym duży, profesjonalny zespół ludzi, i to pozwala nam stale podnosić poziom bezpieczeństwa.

Jakie odległości między samolotami muszą być zachowane w przestrzeni powietrznej?

To zależy od rodzaju przestrzeni powietrznej, sposobu pracy kontrolerów i dostępnych narzędzi. W uproszczeniu: w wyższych warstwach przestrzeni, mniej więcej od około 3 km nad ziemią w górę, gdzie ruch prowadzony jest w oparciu o zobrazenie radarowe, standardowa separacja to 5 mil w poziomie (ok. 10 km) albo 1000 stóp w pionie (ok. 300 m). Podobnie jest na zbliżaniu. Może się wydawać, że 10 km to bardzo dużo, ale samoloty lecą z prędkością nawet 900-1000 km/h. Jeśli dwa lecą naprzeciw siebie, ich prędkości się sumują - względnie to prawie 2000 km/h. Wtedy te 10 km przestaje wyglądać na ogromny dystans. Im mniejsze prędkości, tym separacje mogą być mniejsze. Wieża kontroluje przestrzeń położoną najniżej - do około 2-3 tysięcy stóp (czyli mniej więcej do 1 km nad ziemią) w rejonie kilkudziesięciu kilometrów wokół lotniska. W końcowych i początkowych fazach lotu samoloty lecą wolniej, około 250-300 km/h, więc można stosować zmniejszone separacje, również wzrokowe. Na lotnisku obowiązuje zasada, że na jednym pasie startowym może odbywać się jednocześnie tylko jedna operacja startu albo lądowania. Lotnictwo jest specyficzne, bo jako jedyny środek transportu porusza się w trzech wymiarach. Oprócz kierunków prawo-lewo mamy jeszcze góra-dół. I jest jeszcze jedna różnica: samolotu nie da się zatrzymać w miejscu. Gdyby miał prędkość zero, po prostu by spadł. Dlatego ruchu lotniczego nie można zatrzymać, musimy podejmować decyzje bez przerwy, na każdym etapie.

A co, jeśli samolot nagle zniknie z radarów?

W Polsce mamy bardzo dobre pokrycie radarowe, więc to rzadkie sytuacje. Na wieży nie jest to duży problem, ponieważ kontrolę sprawujemy przede wszystkim w oparciu o wzrokową obserwację pola manewrowego i bezpośredniego sąsiedztwa lotniska. Ponadto, w naszej przestrzeni powietrznej, samoloty latają na niskich wysokościach i czasem po prostu wylatują poza zasięg radaru. Większe wyzwanie powoduje to dla kontrolerów zbliżania czy obszaru, bo dla nich zobrazenie radarowe to podstawowe narzędzie pracy. Takie sytuacje mogą spowodować pojawienie się kilku siwych włosów, ale jesteśmy na nie przygotowani. Pamiętajmy, że cały czas utrzymujemy łączność radiową z załogą. W chwili gdyby samolot zniknął z radaru, pierwsza reakcja jest prosta: kontroler sięga po mikrofon i próbuje na-

wiązać kontakt. Czasem to tylko kwestia systemu, a z samolotem wszystko jest w porządku. Gorzej, kiedy nikt nam nie odpowiada po drugiej stronie słuchawki. To już dużo bardziej skomplikowana sytuacja. Proceduralnie jesteśmy na to przygotowani, ale psychicznie na takie momenty nigdy nie da się przygotować w pełni.

Miał pan taką sytuację?

Na szczęście nie. Najtrudniejsze doświadczenie, jakie miałem, to awaria silnika w jednym z samolotów, ale kontakt z załogą był wówczas zachowany. Wszystko działo się bardzo szybko, więc nie było nawet czasu, żeby nadmiernie się stresować. Lotnictwo jest bardzo bezpiecznym środkiem transportu i warto to podkreślać. Niesprawny samolot nie wystartuje: są mechanicy i technicy, którzy potrafią wstrzymać odlot nawet na „kilka minut” przed startem, jeśli coś budzi wątpliwości. Piloci również dbają o to, by lecieć sprawną maszyną. My, kontrolerzy, pilnujemy, żeby systemy, także zapasowe, działały bez zarzutu. To bardzo złożony organizm, ale dobrze funkcjonujący. Każdego dnia pracujemy nad tym, by latanie było bezpieczne.

Jakie sytuacje podnoszą ciśnienie kontrolerom ruchu lotniczego?

Takie sytuacje zdarzają się jedynie co jakiś czas. To nie tylko awarie, ale też zwykłe sytuacje ruchowe, kiedy okazuje się, że nasza decyzja nie była optymalna. A decyzje podejmujemy bez przerwy. Jeśli ktoś nie jest najlepsza, trzeba ją natychmiast skorygować kolejną, a czasem jeszcze następną. Te momenty, kiedy trzeba szybko naprawić sytuację, są jednymi z trudniejszych w naszej pracy. Oczywiście są też zdarzenia anormalne i awaryjne. Sam miałem taki przypadek. To był jednosilnikowy samolot. Nagle okazało się, że doszło do awarii tego jedynego silnika. Samolot w jednej chwili „stał się” szymbowcem i to tuż nad pasem. Trzeba było natychmiast zarządzić całą sytuacją ruchową. W takich momentach działa jednak cały nasz zespół. Procedury uruchamiane są od razu - asystent wdraża odpowiednie działania, senior wspiera, każdy wie, co ma robić. Wszystko potoczyło się tak, jak powinno. I dobrze się skończyło.

Które lotniska i jakie sytuacje są najtrudniejsze z punktu widzenia kontroli ruchu lotniczego?

Wpływa na to wiele czynników. Podstawą jest infrastruktura i wyposażenie: jaki mamy pas startowy, drogi kołowania, systemy na lotnisku. To fundament naszej pracy. Drugim czynnikiem jest liczba operacji.

Wraz z jej wzrostem rośnie liczba potencjalnych konfliktów i to dynamicznie. Przy dwóch samolotach mamy jeden możliwy konflikt, przy sześciu czy ośmiu sytuacja komplikuje się dużo bardziej. W Krakowie sporym wyzwaniem jest zróżnicowanie ruchu. Pasażerowie widzą głównie duże samoloty rejsowe, ale mamy też małe lotnictwo, pilotów szkolących się w okolicznych ośrodkach. Do tego dochodzi obecność 8. Bazy Lotnictwa Transportowego w Balicach. Lotnictwo wojskowe działa według innych zasad niż rejsowe. To bardzo ciekawe, ale wymaga od nas sporej elastyczności. Na szczęście to również wyjątkowi profesjonaliści.

Jaki moment w pana karierze był największym wyzwaniem?

Ogromnym wyzwaniem było objęcie funkcji kierownika działu kontroli lotniska w Krakowie i jest nim do dziś, szczególnie w sytuacjach kryzysowych. W ubiegłym roku mieliśmy poważne zdarzenie na lotnisku, a ja byłem wtedy za granicą. Z perspektywy kontrolera człowiek skupia się na samej sytuacji: pomagamy, uruchamiamy służbę alarmową, przekazujemy sprawę odpowiednim służbom i wracamy do pracy. Jako kierownik odpowiadam jednak za coś znacznie więcej - za koordynację całego procesu i przywrócenie normalnego funkcjonowania lotniska. Kiedy samolot wypadł z pasa, lotnisko było zamknięte przez kilkanaście godzin. Tymczasem część samolotów była już w powietrzu, inne w drodze, kolejne gotowe do startu. Trzeba było to wszystko poukładać, skoordynować wiele instytucji i komórek, które wspólnie tworzą ten skomplikowany organizm, jakim jest lotnictwo. Tego nie uczą nawet najlepsze szkolenia menedżerskie, nie ma prostego przepisu na sytuację, gdy samolot wypada z pasa. Na szczęście to nie jest praca jednej osoby. Za wszystkim stoi sztab ludzi, którzy wspólnie biorą za to odpowiedzialność.

Jaki jest największy stereotyp na temat pracy kontrolera ruchu lotniczego?

Bardzo często nasz zawód jest tak postrzegany, jakbyśmy każdą swoją decyzją niemal w ostatniej sekundzie ratowali statki powietrzne, a każde lądowanie czy start to wręcz kwestia szczęścia. Absolutnie nie. Jak wspomniałem, nasza praca to przede wszystkim procedury i powtarzalność. Wszystko jest uporządkowane, zaplanowane i odbywa się według ściśle określonych zasad. Powtarzalność buduje bezpieczeństwo.

Skąd więc potrzeba pokazywania waszej pracy w przery-



Mamy rozwinięte systemy bezpieczeństwa i wymiany informacji. Globalnie jesteśmy skomunikowani w ramach różnych instytucji i organizacji

sowany sposób, jak w filmach „Szklana pułapka” albo „Czy leci z nami pilot?”?

W filmach wszystko jest podkręcone do granic możliwości. Sam często oglądam filmy o lotnictwie i bardzo je lubię. Myślę, że nawet jeśli tłumaczymy, jak bezpieczne jest latanie i jak wiele mamy procedur, to dla wielu osób wciąż jest w tym coś magicznego. Sam fakt, że tak ogromna i ciężka maszyna wznosi się w powietrze, budzi emocje. Do tego dochodzi aura tajemnicy i prestiżu wokół tego zawodu. To sprawia, że takie historie dobrze się ogląda, nawet jeśli z rzeczywistością mają niewiele wspólnego.

Jak wygląda dzień pracy kontrolera ruchu lotniczego?

Zwyczaj się mówi, że nasza praca to 95 proc. nudy i 5 proc. maksymalnej koncentracji. Praktycznie na każdym dyżurze trafia się choć jedna sytuacja atypowa. Zwłaszcza na krakowskim lotnisku, gdzie w ostatnim czasie ruch bardzo wzrósł - notując nawet 88 proc. operacji więcej dzień do dnia w porównaniu z przedpandemicznym rokiem 2019, co obecnie przekłada się na około trzysta operacji dziennie. To ogromny przeskok i zarządzanie ruchem o takim natężeniu naturalnie wiąże się ze stresem. Zwykły dzień zaczynam od odprawy. W specjalnym systemie mamy zebrane informacje potrzebne do przygotowania się do pełnienia służby. Zapoznajemy się z sytuacją w przestrzeni powietrznej, dostępną przez urządzenie, planowa-

nymi oblotami i lotami technicznymi. Sprawdzamy też prognozę pogody i warunki atmosferyczne. Pracujemy w systemie zmianowym: na stanowisku można siedzieć maksymalnie dwie godziny, potem obowiązkowa przerwa i powrót na kolejne dwie godziny. Na wieży w Krakowie są cztery stanowiska: kontroler tower, odpowiedzialny za przestrzeń powietrzną i drogę startową; kontroler ground, odpowiedzialny za ruch naziemny; asystent/delivery, który wydaje zezwolenia na lot i wspiera pozostałych kontrolerów; oraz senior kontroler, odpowiedzialny za całą zmianę. Przekazanie stanowiska odbywa się płynnie, pod bieżącym ruchem - samoloty przecięć nie mogą się zatrzymać na ten czas. Chodzi o to, by przekazać wszystkie najważniejsze informacje krótko, konkretnie i zgodnie z procedurami - bo procedury to podstawa naszej pracy. Po przejęciu stanowiska zapewniamy służbę kontroli ruchu lotniczego, a także służbę informacji powietrznej i alarmową.

Ile trwa dyżur?

Siedem i pół godziny.

Jakie umiejętności są niezbędne, by bezpiecznie kierować ruchem w powietrzu?

Najważniejsza jest umiejętność szybkiego podejmowania decyzji. Bez tego nie da się pracować na tym stanowisku. Decyzja nie zawsze musi być idealna, ale musi zostać podjęta. W sytuacjach niestandardowych trzeba na bieżąco wymy-

ślić rozwiązanie i zareagować. Jeśli nie będzie ono optymalne, za chwilę korygujemy je kolejną decyzją. W lotnictwie przyszłość liczy się w sekundach. To musi być najlepsza możliwa decyzja w danym momencie, a ewentualne konsekwencje rozwiązujemy później. Bardzo ważna jest też odporność na stres, ale tego można się nauczyć. Pomaga życie poza pracą, bliscy, pasje. Swoją pracę opieram mocno na matematyce, fizyce i analizie. Cały czas kalkuluję prędkość, drogę i czas. Muszę wiedzieć, gdzie samolot będzie za chwilę, ile przestrzeni potrzebuje i jak to się ma do innych maszyn. Czy zdąży wystartować? Czy mamy wystarczającą separację? Czy trzeba kogoś opóźnić? To wszystko to czysta matematyka.

Poczucie humoru też się przydaje?

Zdecydowanie tak. Choć mamy dość specyficzne poczucie humoru, ale to pewnie jeden ze sposobów radzenia sobie ze stresem.

Czy to prawda, że gdyby nie lot z Krakowa do Bukaresztu i jedna rozmowa w dziekanacie, dziś rozmawialibyśmy z prawnikiem a nie z kontrolerem ruchu lotniczego?

Tak, rzeczywiście wszystko zaczęło się od mojego pierwszego lotu samolotem. Z tej podróży przywiozłem magazyn pokładowy Polskich Linii Lotniczych LOT „Kaleidoscope” i przez długi czas z ogromnym zainteresowaniem zgłębiałem flotę samolo-

tową, analizując specyfikację poszczególnych maszyn. Nie planowałem jednak drogi zawodowej związanej z lotnictwem - miałem zostać prawnikiem. A decyzję o wyborze kierunku studiów w pewnym sensie podjęła za mnie... pani w dziekanacie. Kiedy poszedłem złożyć dokumenty na prawo, wspomniałem, że dostałem się też na inny kierunek, na który aplikowałem spontanicznie i w tajemnicy przed wszystkimi. Gdy pani usłyszała, że przyjęto mnie do Dębina, bez wahania przesunęła dokumenty w moją stronę i powiedziała, że bym je zabrał i wykorzystał swoją szansę. Posłuchałem jej. Zabrałem dokumenty i w ten sposób nie zostałem prawnikiem.

Jak długo pracuje pan jako kontroler ruchu lotniczego?

Od lipca 2020 roku. Niedługo minie sześć lat. Wcześniej, przez rok pracowałem pod nadzorem instruktorów jako praktykant-kontroler ruchu lotniczego.

Odpowiedzialność za życie tysięcy pasażerów nie jest dla pana obciążająca?

Nie chcę upraszczać, mówiąc, że samoloty to tylko „kropki na radarze”, ale w pewnym sensie to trochę tak wygląda, dla nas to operacja. Boeing 737 musi wykonać operację lądowania, a Airbus A320 właśnie wykonuje operację startu. W pracy mamy dostęp do wsparcia psychologicznego, szczególnie po trudnych zdarzeniach. W razie potrzeby nie

zostajemy z tym sami. Bezpieczeństwo operacji jest naszym priorytetem.

Ile osób potrzeba, żeby jeden samolot wystartował i bezpiecznie doleciał na miejsce?

Omówmy to na przykładzie lotu z Krakowa do Gdańska. Na krakowskim lotnisku samolot będzie w kontakcie z co najmniej dwoma kontrolerami. Po starcie przejmują go kontrolerzy zbliżania - znów minimum dwie osoby. Następnie przelot przez dwa-trzy sektory obszaru i kolejne sześć osób, bo w każdym sektorze pracuje para kontrolerów. Przed lądowaniem znów zbliżanie - dwie osoby, i wreszcie wieża w Gdańsku - kolejne dwie. W sumie daje to minimum czternastu kontrolerów. Oczywiście liczba ta zależy od pory dnia, natężenia i złożoności ruchu. Warto dodać, że to kontrolerzy podejmują decyzje i wydają instrukcje. Poza sytuacjami awaryjnymi pilot nie może wykonać żadnego manewru bez naszej zgody. To my mówimy, kiedy ma zniżać, wznosić się, skręcać i o ile stopni. Ale za nami stoi też duże zaplecze operacyjne, cały sztab ludzi, którzy dbają o to, by system działał sprawnie.

Czy wiedza o tym, co dzieje się w powietrzu, może pomóc w pokonaniu lęku przed lataniem?

Mam nadzieję, że tak. Nasza praca jest bardzo usystematyzowana i uregulowana. Na większość sytuacji mamy procedury, jesteśmy stale szkoleni i monitorowani. Kompetencje są regularnie weryfikowane. To wszystko sprawia, że lotnictwo jest wyjątkowo bezpieczne. Warto też podkreślić, że zanim ktoś obejmie stanowisko kontrolera ruchu lotniczego, przechodzi bardzo złożony i wieloetapowy proces rekrutacji. Potem szkoli się w naszym ośrodku, a to nie koniec - regularnie przechodzimy szkolenia odświeżające, egzaminy, kontrole wiedzy i ocenę kompetencji. Cały czas jesteśmy sprawdzani i przygotowywani również na sytuacje awaryjne. Szkolenie w tym zawodzie trwa przez całą karierę. Jeśli chodzi o lęk przed lataniem, trzeba pamiętać, że statystycznie najbardziej ryzykowny moment podróży samolotem to... dojazd na lotnisko. Znacznie większe prawdopodobieństwo wypadku wiąże się z jazdą samochodem niż z samym lotem. Nie mówię tego z pychą, to nie jest tak, że „zrobiliśmy swoje i jest idealnie”. Cały czas pracujemy nad tym, by poziom bezpieczeństwa był jak najwyższy.

Gdy wychodzi pan z pracy, nadal patrzy pan w niebo?

Oczywiście, nie mogę się powstrzymać. Kocham lotnictwo i kocham samoloty.

KILKA NIEOSTROŻNYCH SŁÓW JOHNA LENNONA

Czasem lepiej powiedzieć mniej, choćby nawet miało się świat u stóp. A zwłaszcza wtedy, gdy w grę wchodzi Bóg, a skutkiem jest globalny skandal

Mariusz Grabowski

W wywiadzie dla Maureen Cleave, popularnej celebrytki muzycznej, opublikowanym w „London Evening Standard” 4 marca 1966 r. znalazły się słowa Lennona, że Beatlesi są „popularniejsi od Jezusa”. Przeszły do historii jako przykład wzorcowej marketingowej autodestrukcji.

Lennon i teologia

Zacytujmy fragment przemyśleń lidera Beatlesów w całości: „Chrześcijaństwo odejdzie. Będzie się kurczył i zniknie. Nie potrzebuję się o to spierać - wiem, że mam rację i czas to potwierdzi. Jesteśmy teraz bardziej popularni od Jezusa. Nie wiem, co się skończy pierwsze - rock and roll czy chrześcijaństwo. Jezus był w porządku, ale jego uczniowie byli tępi i zwyczajni. To ich przekreśliły zrujnowały to wszystko”.

Obliczmy: w chwili wypowiedzenia powyższych słów Lennon liczył 26 lat, a zatem nie był już dzieckiem. Był dorosłym mężczyzną, z własnymi przemyśleniami na temat świata, ludzi i kwestii transcendentnych. Miał żonę, syna i przynoszący dochód biznes. Można jednak założyć, że faktycznie tak myślał.

Co wcale nie znaczy, że swoje elukubracje musiał puszczać w świat. Nie z powodu cenzury, lecz zdrowego rozsądku - skutki Lennonowego filozofowania okazały się fatalne nie tylko dla niego, ale dla całego zespołu. Poza tym wieszczęnia okazały się warte funta kłaków: chrześcijaństwo ma się dzisiaj dobrze, a Beatlesi nie istnieją od blisko pół wieku.

Powiedz mi, John...

Cofnijmy się do początków 1966 r. Beatlesi cieszyli się już statusem światowego giganta muzyki młodzieżowej. Grupa miała już na koncie sześć płyt, była już także po premierze nominowanego do Oscara filmu „A Hard Day's Night”. Rok wcześniej na rozdaniu nagród Grammy Brytyjczycy zgarnęli statuetkę dla „Najlepszego Nowego Artysty”, a w marcu 1966 r. zapisał się w historii jako



Po przylocie zespołu do Stanów 11 sierpnia John Lennon – wyraźnie zdenerwowany – oficjalnie przeprosił za swoje słowa

pierwszy zespół, który otrzymał nominację w kategorii „Album Roku” za „Help!”.

Wywiadów dla londyńskiej gazety „Evening Standard” Lennon, McCartney, Harrison i Starr udzielali kolejno. Rozmawiała z nimi Maureen Cleave, prywatnie ich znajoma. W 1963 r. napisała przełomowy artykuł „Dlaczego Beatlesi wywołują ten cały szal”, a na początku 1964 r. Beatlesi zaprosili ją, by towarzyszyła im w trasie po USA - napisała o tym serię reportaży.

W lutym 1966 r. Cleave udała się do domu Johna Lennona, z którym w ramach tzw. segmentu „How Does a Beatle Live?” przeprowadziła z nim pamiętną rozmowę. Jak wspominała, zdziwiło ją, że muzyk interesował się filozofią i histo-

rią chrześcijaństwa, bo „nigdy wcześniej nic na ten temat nie mówił”. Rozmowa została nagrana, spisana, a wywiad opublikowany. Nikt nie zaprzętał sobie głowy autoryzując.

Alabama mówi nie!

Medialna burza wybuchła dopiero kilka miesięcy później, gdy została przytoczona w amerykańskim magazynie młodzieżowym „Datebook”. Dziennikarze już na okładce wyciągnęli cytaty o Jezusie, od razu dostrzegając w nim potencjał na wzbudzenie zainteresowania wśród czytelników.

„O sprawie zaczęło się robić coraz głośniejsze, egzemplarze „Datebook” zaczęły docierać do amerykańskich dziennikarzy radiowych, którzy w odpowiedzi na stwierdzenie Len-

nona ogłaszali, że... nie będą grać muzyki The Beatles. Tommy Charles stwierdził to otwarcie na antenie stacji WAQY, a jej śladem z czasem podążyło aż 30 kolejnych” - tłumaczy Dominika Bany, dziennikarka portalu eskarock.pl.

Jedną z rozgłośni w Birmingham w stanie Alabama posłała o krok dalej - na 6 sierpnia 1966 r. zorganizowała publiczne niszczenie i palenie płyt Beatlesów. Na akcji pojawiły się tłumy młodych ludzi, a także grupy Ku-Klux-Klanu, a ich zdjęcia błyskawicznie obiegły media w całych Stanach. Wielu duchownych gromiło Lennona w swoich kazaniach. To już nie była prowincjonalna imba, lecz zagrożenie dla zbliżającej się kolejnej, trzeciej trasy koncertowej Beatlesów za oceanem.

Gniew Watykanu

Potrzebne zatem były szybkie działania reanimacyjne. Zwłaszcza że spanikowany Brian Epstein rozważał początkowo nawet odwołanie trasy. Ponoć dopiero uświadomienie mu ewentualnych kosztów zerwania kontraktów zmusiło go do pojawienia się na konferencji prasowej w Nowym Jorku 5 sierpnia. Tłumaczył na niej - dość nieskładnie - że słowa Lennona „zostały wyjęte z kontekstu”.

Dużo to nie pomogło - kolejne stacje radiowe, już nie tylko w Ameryce, zakazywały puszczenia muzyki grupy. W sprawę zaangażował się nawet Watykan, który skrytykował wypowiedź Beatlesa. „Pewne tematy nie powinny być traktowane w sposób profanujący, nawet w świecie »beatników« - można było przeczytać w komentarzu „L'Osservatore Romano”.

Tu dygresja: na „wybaczenie” ze strony Watykanu Lennon czekał ponad 40 lat. 22 listopada 2008 r. ta sama gazeta napisała: „Po tylu latach brzmi to (słowa z 1966 r.) jak przechwałki angielskiego chłopaka wywodzącego się z klasy robotniczej, który nie radzi sobie z niespodziewaną i nadmierną sławą”. Dalej w samych superlatywach wypowiadała się o słynnych „Fab Four” twierdząc, że tylko „snoby” nie uznają wkładu The Beatles we współczesną kulturę.

Order Imperium

Wróćmy do lata 1966 r. W wielu ówczesnych mediach zaczęły pojawiać się teksty, że „Beatlesi budują swoją popularność na skandalach”. Odnosiło się to m.in. do głośnej sprawy z początku 1965 r., gdy członkowie grupy zaczęli eksperymentować z LSD, czyli popularną w tamtych czasach substancją halucynogenną.

Oficjalnie mówiło się, że LSD dentysta Harrisona nieostrożnie dodał do ich kaw, ale było to mrugnięcie okiem do liberalnej publiki. Incydent przyczynił się do - jak wspominali później sami Beatles - „regularnego zażywania” przez nich narkotyku. Miał im „otworzyć wrota percepcji” i miał wpływ na muzykę, którą tworzyli.

Część społeczeństwa, szczególnie ta konserwatywna, nie kryła oburzenia, ale ku jej zaskoczeniu w czerwcu królowa Elżbieta II przyznała Beatlesom Order Imperium Brytyjskiego. „Za - jak uzasadniono - wybitne zasługi dla kultury i promocję Wielkiej Brytanii”. Dotąd Order tradycyjnie przyznawany był przede wszystkim weteranom wojennym, dlatego też niektórzy Kawalerowie Orderu (w tym sporo oficerów) w ramach protestu demonstracyjnie zwracali swoje odznaczenia.

„Nie chciałem tego”

Kryzys wizerunkowy po słowach Lennona o Jezusie wydał się jednak większy. Po przylocie zespołu do Stanów, na zorganizowanej specjalnie konferencji prasowej 11 sierpnia John Lennon - wyraźnie zdenerwowany - oficjalnie przeprosił za swoje słowa: „Przepraszam, jeśli to uraziło wasze uczucia. Nie chciałem tego. Nie jestem przeciwnikiem Boga, Chrystusa ani religii. Nie mówiłem, że jesteśmy lepsi - po prostu powiedziałem, co obserwuję. Powiedziałem to nie w sensie porównania wartości, tylko popularności”.

Mimo przeprosin podczas trasy koncertowej po USA dochodziło do protestów i gróźb wobec Beatlesów - np. w Memphis, po groźbie zamachu bombowego dwa koncerty w tamtejszym Mid-South Coliseum odbyły się pod silną ochroną policji i Gwardii Narodowej. W czasie drugiego, w trakcie wykonywania utworu „If I Needed Someone”, ktoś rzucił na scenę petardę. Z tego powodu koncert skrócono.

Jak twierdzą Beatlesolodzy, incydent w Memphis przyczynił się do decyzji zespołu o całkowitym zakończeniu koncertowania - ostatni koncert muzyki zagrał 29 sierpnia 1966 r. w Candlestick Park w San Francisco. Potem publicznie pojawiali się tylko okazjonalnie.

Czekolada i piękne kobiety

Po latach słowa Johna Lennona o Jezusie trzeba widzieć w kontekście jego światopoglądu. On sam uważał się za lewicującego liberała, traktującego religię z dystansem, jako zjawisko „przemijające”. W rozmowie nagranej w 1969 r. i wyemitowanej przez BBC Lennon mówił np. o Kościele anglikańskim oraz swojej wizji nieba i piekła. Usprawiedliwiał się też ze swoich słów o Jezusie sprzed lat.

„Chodziło mi o to, że Beatlesi wydają się mieć większy wpływ na młodzież niż Chrystus. Nie powiedziałem, że to dobrze. Jestem jednym z największych fanów Chrystusa. I jeśli można skierować zainteresowanie Beatlesami na przesłanie Chrystusa, to po to tu właśnie jesteśmy” - tłumaczył.

Przedstawił przy okazji swoje wyobrażenia na temat nieba i piekła: „Nie marzę o żadnym fizycznym niebie, miejscu, w którym jest mnóstwo czekolady i pięknych kobiet ubranych w suknie wieczorowe, grających na harfach. Sądzę, że można stworzyć niebo we własnym umyśle. Chrystus mówił, że Królestwo Niebieskie jest w nas i ja w to wierzę”. Dwa lata później, w Nowym Jorku nagrał piosenkę „Imagine”, w której skutecznie te słowa zakwestionował.

Ale to już historia Lennona-ideologa, opowieść na inną okazję.

**Posel
na Sejm
RP**

JERZY MATERNA

zaprasza do udziału w uroczystościach



Nie jesteśmy żadną bandą, tak jak nas nazywają zdrajcy i wyrodni synowie naszej ojczyzny. My jesteśmy z miast i wiosek polskich (...). My chcemy, by Polska była rządzona przez Polaków oddanych sprawie i wybranych przez cały Naród, a ludzi takich mamy, którzy i słowa głośno nie mogą powiedzieć, bo UB wraz z kliką oficerów sowieckich czuwa. Dlatego też wypowiedzieliśmy walkę na śmierć lub życie tym, którzy za pieniądze, ordery lub stanowiska z rąk sowieckich, mordują najlepszych Polaków domagających się wolności i sprawiedliwości.

Fragment ulotki z marca 1946 roku
autorstwa mjr. Zygmunta Szendzielarza

Szanowni Państwo,

Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych skłania do zadumy i refleksji – myślenia o patriotyzmie, granicach poświęcenia, wierności złożonej żołnierskiej przysiędze... Pytanie, czy walczący z okupantem sowieckim i komunistycznymi oprawcami w latach 1944-1961 zajęli już trwale należne im miejsce w naszej zbiorowej pamięci? – wydaje się być ciągle aktualne. Antykomunistyczni bojownicy byli oficjalnie wyklęci w trakcie trwania PRL i ponad dekadę potem. Ostatnio znów niejednokrotnie jesteśmy świadkami nienawistnych ataków na pamięć o bohaterach Polskiego Podziemia Antykomunistycznego – ich autorami są spadkobiercy PRL – dla nich jest ono ciągle wyklęte.

Nie możemy na to pozwolić!

**W imieniu organizatorów zapraszam także do udziału
w Zielonogórskich Obchodach NDPŻW w niedzielę 1 marca 2026 r.**

godz. 11.00 – złożenie wiązanek kwiatów pod Tablicą Pamięci na budynku, w którym w latach 1950-1954 komunistyczny Wojskowy Sąd Rejonowy wydawał surowe wyroki na „wrogów Polski Ludowej”, w tym Żołnierzy Wyklętych (ul. Chrobrego 7)

godz. 11.30 – złożenie zapalonych zniczy i kwiatów pod Obeliskiem Pro Memoria Ofiarom reżimu komunistycznego, w tym Żołnierzom Wyklętym, przy murze Aresztu Śledczego w Zielonej Górze, ul. Łużycka

godz. 12.00 – msza św. w intencji Żołnierzy Wyklętych – Konkatedra św. Jadwigi w Zielonej Górze

godz. 13.15 – uroczystość poświęcona Żołnierzom Wyklętym z udziałem Wojska Polskiego
– Plac mjr. Adama Lazarowicza. Złożenie zniczy i kwiatów pod Obeliskiem Pamięci Żołnierzy Wyklętych

Nowa Sól: XII Marsz Pamięci Żołnierzy Wyklętych

Konferencja – godz. 17.30

Msza święta – godz. 18.30

Marsz – godz. 19.30

Start z Placu pod kościołem św. Antoniego

Żary: XIV Bieg Pamięci Żołnierzy Wyklętych – Tropem Wilczym w Żarach
1 marca 2026 r. godz. 12.00

Bądźmy w tym dniu razem!

Jerzy Materna
Jerzy Materna
Posel na Sejm RP

JULIA PIETRUCHA: MOJE AKTORSKIE MECHANIZMY DOPIERO SIĘ ROZGRZEWAJĄ

Od dekady jest z nami jako wokalistka, wykonując urocze piosenki o alternatywnym tonie. Teraz zobaczymy ją jednak znowu na dużym ekranie – we wchodzącym dziś do kin filmie „Pojedynek”. Nam Julia Pietrucha opowiada, czy ma sentyment do serialu „Blondynka”, który niegdyś przyniósł jej wielką popularność

Parwot Gzyl

Za sprawą filmu „Pojedynek” wracasz po niemal dziesięciu latach przerwy do aktorstwa. Jak do tego doszło?

Stało się to dosyć niespodziewanie, ponieważ nie planowałam tego powrotu świadomie. Zajmowałam się muzyką i to wypełniało mój grafik. Los jednak spletał mi niespodziankę. Po tych dziesięciu latach przerwy dostałam telefon i zaproszenie do tego projektu. Przyjęłam je, długo się nie zastanawiając, bo było bardzo miłe i konkretne. Uznałam, że to dobry moment, bo spłotło się to w czasie z moją czasową dostępnością.

Podczas naszej poprzedniej rozmowy, mówiłaś: „Założyłam, że jeśli trafi mi się historia, która mnie poruszy, to zdecyduję się wrócić”. Co cię poruszyło w „Pojedynku”?

Przede wszystkim bardzo dobrze napisany scenariusz. Ale też rola, która została mi powierzona – polskiej pilotki i spadochroniarki Janiny Lewandowskiej, która była jedyną kobietą osadzoną w obozie w Kozielsku w 1939 roku. Ważny też był rozmach, z jakim planowano nakręcić ten film, świetna obsada i reżyser Łukasz Palkowski, z którym już wcześniej się spotkałam. Uwierzyłam, że warto wziąć udział w tym projekcie, tym bardziej że zamysł mojego występu pojawił się już na wczesnym jego etapie, co było dla mnie bardzo nobilitujące.

Jak się poczułaś, kiedy znowu znalazłaś się na filmowym planie?

Od początku towarzyszyła mi radość i ekscytacja. Kręciliśmy w twierdzy Modlin, działo się to pod koniec maja czy na początku czerwca, było więc ciepło. Scenografia obozowa została już wybudowana, a aktorzy pojawili się w swych filmowych kostiumach. Przeniosłam się więc momentalnie w końcówkę lat 30. minionego wieku. Wejście w ten świat było dla mnie niezwykle ekscytujące.

Jesteś w „Pojedynku” jedyną kobietą w męskim towarzystwie. Czulaś się wyjątkowo? Skupiłam się głównie na tym, jak czuła się moja bohaterka. Kiedy pojawia się w obozie, próbuje ukryć swą tożsamość i płeć pod mundurem i czapką. Niestety – niemal od razu zostaje zdemaskowana. Wtedy powstaje wokół niej ochronny pancierz, tworzony przez mężczyzn, którzy się nią opiekują, ale którymi ona również się opiekuje na swój sposób. Nieprzypadkowo była przecież nazywana „Matką Boską Kozielską”. Jest więc też swego rodzaju symbolem jako jedyna kobieta w obozie.

Twoi koledzy-aktorzy też otoczyli cię taką opieką na planie? Na pewno czułam takie wsparcie. Tym bardziej że miałam dziesięć lat przerwy i moje aktorskie mechanizmy nie były jeszcze rozgrzane. Byłam więc przez nich dopingowana i otwarcie okazywano mi wsparcie. To mi na pewno pomogło, nie dorzuciło dodatkowego stresu, tylko sprawiło, że mogłam w aurze braterskości zanurzyć się w tym wojennym

świecie. Mogę więc chyba powiedzieć, iż stworzyliśmy prywatnie fajną grupę.

Pracowałaś wśród samych gwiazd polskiego kina, a twoim najbliższym partnerem był Jakub Gierszał. Była między wami ta przysłowiowa „chemia”?

Poznałam Kubę jakieś osiemnaście lat temu. On kręcił wtedy swój debiutancki film „Wszystko, co kocham” na Helu, a ja w tym samym miejscu „Miasto z morza”. Nasze ekipy się wówczas spotkały. Wkrótce potem jego film miał premierę i przyjęło go z wielkim entuzjazmem. W kolejnych latach obserwowałam karierę Kubę i marzyło mi się, żeby spotkać się z nim kiedyś na planie. Nie powie-działam tego na głos – ale ostatecznie się spełniło. Było to dla mnie bardzo nobilitujące i ciekawe doświadczenie, bo mogłam podpatrzeć jak on i jego znakomici koledzy pracują, jak budują swe role, czy potrzebują kontaktu z drugim aktorem czy raczej wolą to robić samemu. Każdy z nich trochę inaczej do tego podchodzi, a do tego Łukasz Palkowski miał dużą dozę otwartości na improwizację i uważnie słuchał aktorów. To też było ciekawe: niby scena była napisana, ale mogła się wywrócić i być inaczej zagrana. Bardzo mi się to podobało, bo uwielbiam w muzyce improwizować na scenie. Okazało się, że w filmie też tak można.

Wcielasz się w autentyczną postać – pilotkę i spadochro-

niarkę Janinę Lewandowską, która była jedyną kobietą, jaka zginęła w Katyniu. Szukałaś informacji o swej bohaterce w historycznych źródłach?

Staralam się poczytać, ile mogłam. Choćby o obozie w Kozielsku, aby wczuć się w tę aurę. Ale dla Łukasza ważne było, że nie opowiadamy tej historii jeden do jednego. Te autentyczne postaci są punktami wyjścia dla bohaterów, których chcieliśmy stworzyć na ekranie. Dlatego nawet nie jestem fizycznie podobna do kreowanej przeze mnie postaci. Trochę było to współczesne i na swój sposób autorskie.

No właśnie: w scenariuszu Lewandowską jest pokazana jako silna i niezależna kobieta, równie odważna jak jej koledzy-żołnierze. Spodobał ci się taki rys tej postaci?

Bardzo. Myślę, że to też zdecydowało o tym, by wziąć udział w tym projekcie i wrócić do filmu. Janina Lewandowska bardzo mi imponowała – wydawało się wręcz nieprawdopodobne, że w latach 30. była pilotką i spadochroniarką. To jednak pokazuje, że w dwudziestoleciu międzywojennym było wiele odważnych kobiet, które żyły po swojemu. Do tego były o wiele mniej pruderne czasy niż są teraz. Cieszę się więc, że mogłam się wcielić w taką wyjątkową postać.

Janina Lewandowska była przed wojną w szkole muzycznej i planowała karierę śpiewaczki. Dzięki temu i ty mogłaś zaśpiewać w filmie.

To prawda. Zaśpiewałam piękny utwór Hanki Ordonówny „Miłość ci wszystko wybaczy”. Generalnie muzyka i kino lat 30. są mi bardzo bliskie. Mam obejrzone chyba wszystkie filmy z Eugeniuszem Bodo, łącznie z tymi, z których zachowały się tylko fragmenty.

Ta scena, kiedy za twoim przykładem oficerowie śpiewają „Miłość ci wszystko wybaczy”, jest bardzo wzruszająca. Też ją tak odebrałaś?

Nie chcę tu zdradzać fabuły, ale śpiewając ten utwór ratuję głównego bohatera od przymusu, przed którym zostaje postawiony przez sowieckiego komendanta obozu. Za mną odzywają się głosy wszystkich oficerów znajdujących się w baraku. To symbol jedności, która trzymała tych więźniów razem i wolności, którą w sobie mieli, a która sprawiła, że mogli stawić opór najeźdźcy. W ten sposób zmanifestowali swoje pochodzenie i swoją polskość. Jest to też nawiązanie do filmów z lat 30., kiedy fabuła często była przełamwana przez niespodziewane wykonania piosenek. To też zgrabnie zostało wplecione w nasz film.

Z drugiej strony masz też scenę gwałtu, która dla każdej aktorki na pewno jest wielkim wyzwaniem. Jak sobie z nią poradziłaś?

Tego rodzaju sceny są zazwyczaj bardziej szczegółowo przygotowane pod kątem bezpieczeństwa i komfortu aktorów niż inne, dlatego paradoksalnie są mniej stresujące. Wszystko jest dokładnie zaplanowane, każdy ruch jest ustalony, nie ma tu miejsca na improwizację. Niemalże tuż obok kamery stoi koordynator scen intymnych i gdyby coś działo się nie tak, można od razu reagować. W efekcie sekwencja ta wygląda bardziej dramatycznie niż była w rzeczywistości. Dla mnie najbardziej wymagające były sceny, w których liczył się przede wszystkim przepływ energii i emocji. Budowanie na tych elementach, okazało się dla mnie, powracającej do aktorstwa po długiej przerwie, znacznie większym wyzwaniem.

Twoja bohaterka stawia opór kuszeniu ze strony sowieckiego systemu. Zadawałaś sobie pytanie: co ja bym zrobiła na jej miejscu?

Nie jestem tego typu osobą, która zadaje sobie takie pytania. Bo wiem, że ostatecznie nie mamy zielonego pojęcia jakbyśmy się zachowali w takiej sytuacji. Mam rodzinę, bliskich, o których trzeba zadbać – trudno więc przewidzieć jakbym postąpiła. I chyba nie chciałabym się nad tym zastanawiać. Jeśli kiedyś przyjdzie się zmierzyć z taką sytuacją, to

wtedy będę reagować i odpowiem sobie na to pytanie.

„Pojedynek” nie potępia jednoznacznie tych oficerów, którzy wybrali kolaborację. Można ich zrozumieć?

Film nie skupia się na tym. Jest tam scena, w której widać jak jeden z oficerów zgadza się na kolaborację i nie zostaje to dobrze przyjęte przez jego kolegów. „Pojedynek” opowiada przede wszystkim o tym, do czego takie manipulacje prowadzą i jak bliski jest nam to temat również dzisiaj. Walka dobra ze złem, wolność ze zniewoleniem, jest obecna na każdym kroku. I to jest najważniejsze przesłanie tego filmu.

Sama postać sowieckiego komendanta obozu Wasilija Zarubina nie jest też jednoznaczna.

To prawda. Pokazujemy choćby jego wrażliwość na muzykę. To czyni go bardziej ludzkim dla widzów. On też jest pod presją dowództwa i tak naprawdę chce do końca pomóc polskiemu oficerowi, którego muzyczny talent podziwiał. I jak to odbiera?

Największą nutę nadziei wnosi syn Zarubina. W symboliczny sposób reżyser chce za pomocą tej postaci pokazać, że między nami a Rosjanami może kiedyś pojawi się możliwość porozumienia.

Zgadza się. Dziecko jest czystą istotą, która jeszcze nie jest naznaczona piętnem wojny, nie ma świadomości co jest czarne, a co białe. Zaprzyjaźnia się więc z polskimi oficerami.

„Pojedynek” stał się zaczynem twojego kolejnego projektu – serialu „Langer”, w którym ponownie spotkałaś się z Jakubem Gierszałem. To przypadek?

Chyba producenci stwierdzili, że nie można nas rozdzielać. (śmiech)

Jak się odnalazłaś w opowieści sensacyjnej, osadzonej we współczesnej scenarii?

To było trudne zadanie. Większość fabuły opierała się na mojej bohaterce i jej relacji z seryjnym mordercą. Mnogość emocjonalnych stanów i warstw tej postaci, łączyła czasem bardzo kontrastujące ze sobą elementy. Musiałam wchodzić w skrajne emocje – i było to dla mnie duże wyzwanie. Żeby potrafić oddzielić własne odczucia i myśli od tego, co musiałam zagrać na planie. Bo to przecież nie ja miałam odczuwać ciarki, tylko widz przed ekranem. Spotkałam się potem ze skrajnymi ocenami tego serialu i mojej roli. Był to bowiem niełatwy materiał, z którym trzeba było się zmierzyć. Ale cieszę się, że podjęłam tę próbę i wyszłam poza strefę swojego komfortu,



FOT. JAROSŁAW SOSIŃSKI/MATPRAS.

Julia Pietrucha: Skupiłam się głównie na tym, jak czuła się moja bohaterka. Kiedy pojawia się w obozie, próbuje ukryć swą tożsamość i pleć pod mundurem i czapką. Niestety – niemal od razu zostaje zdemaskowana

bo było to po prostu bardzo ciekawe doświadczenie.

Będiesz teraz chciała dalej grać?

Tak, jeśli pojawią się propozycje, w których będę się widziała i będzie to ze mną spójne. Moje aktorskie mechanizmy dopiero się rozgrzewają. Ktoś zapytał mnie, czy to jest tak, jak z jazdą na rowerze – po przerwie wsiadasz na niego i po prostu jedziesz. Niestety – to nie takie proste. Patrząc na to, jak wiele wspaniałych filmów i kreacji pojawia się teraz w polskim kinie, mam jednak motywację do tego, żeby pracować i rozwijać się.

Jesteś gotowa chodzić na castingi i walczyć o role?

Ja nigdy tego tak nie postrzegałam. (śmiej) Jestem raczej człowiekiem, który pragnie się dogadywać i porozumiewać, a nie walczyć. Film to taki rodzaj sztuki, w której niby aktor tworzy swoją kreację sam, ale w sumie jest to wspólne dzieło. I zawsze tej wspólnoty wypatruję. Kiedy byłam na jakimś castingu i potem ktoś inny został obsadzony zamiast mnie, to miałam poczucie, że po prostu ta osoba bardziej pasuje do tego projektu. Czy będę więc dalej grała? Myślę, że tak – jeśli ktoś będzie mnie widział w danej roli i jeśli ja

się będę w niej widziała. Na pewno jednak nie czuję w sobie zacięcia, aby walczyć o role, bo mam swój muzyczny świat, którym żyję na co dzień.

Co daje ci aktorstwo, czego nie daje ci muzyka?

Aktorstwo to wychodzenie poza strefę komfortu. To coś, z czym muszę się zmierzyć. Chcę więc grać chyba po to, by trochę utrudnić sobie życie. (śmiej)

Zaczynałaś jako dziecko równoległe od śpiewania i grania w Teatrze Syrena. Dlaczego, wchodząc w dorosłe życie, postawiłaś na aktorstwo?

Ponieważ od razu po występie w teatrze, pojawiły się propozycje filmowe i serialowe. Skorzystałam więc z nadarżającej się okazji. (śmiej) Śpiew pozostał jednak nadal moją wielką pasją. I może dobrze, że tak się potoczyło, bo mogłam poczekać na moment, kiedy potrafiłam stworzyć bardziej dojrzałą wypowiedź muzyczną. Nie wydawać płytę w wieku piętnastu lat, tylko wtedy, kiedy wiedziałam co i jak chcę powiedzieć. Myślę więc, że miało to wszystko duży sens.

Zaczęłaś od telewizji w serialach „Na Wspólnej” i „Kochaj mnie, Kochaj”. Spodobało ci się w tym aktorskim świecie?

Jako dziecko byłam bardzo nim zafascynowana. Mogłam poznać wspaniałych aktorów, współpracować z nimi, no i urwać się z lekcji. (śmiej) Miałam jednak zawsze mocny kręgosłup moralny i etos pracy, ważne było więc dla mnie, by dobrze przygotować się do roli i uczyć się od najlepszych. Aktorstwo dawało mi to wszystko, mimo że był to świat dorosłych, który funkcjonował dla mnie równoległe z moim światem szkolnym.

W 2007 roku dostałaś nagrodę na festiwalu w Gdyni za „Jutro idziemy do kina”. Miałaś wówczas zaledwie osiemnaście lat. Uwierzyłaś wtedy w siebie jako aktorkę?

Pamiętam, gdy byłam na pokazie premierowym tego filmu na festiwalu w Gdyni, ku mojemu przerażeniu, kiedy pojawiałam się na ekranie i wypowiadałam swe teksty, cała sala się śmiała. Działo się tak, ponieważ moja postać była tak słodka i uroczą w swej niewinności, ja jednak myślałam, że to dlatego, iż kiepsko ją zagrałam. Chciałam się więc wtedy zapisać pod ziemię. Byłam przekonana, że to po prostu moja wielka kłapa. Chwilę później okazało się jednak, że dostałam za tę rolę nagrodę, więc kompletnie nie wiedziałam co tu się dzieje. (śmiej) Cóż:

byłam jeszcze dzieckiem i czułam się totalnie zdezorientowana. Mimo że byłam dojrzała jak na swój wiek, nigdy nie zdobyłam przekonania, że świetnie sobie radzę w tym aktorskim świecie. Do dziś nie mam takiego uczucia, raczej próbuję i szukam swojej drogi. Biorę udział w różnych projektach, ale to muzyka jest moim przeznaczeniem. Wiem to, od kiedy usłyszałam po raz pierwszy, jak moja babcia gra na akordeonie. Zapragnęłam wtedy śpiewać – i to na scenie czuję się do dziś najlepiej.

Rodzice czy starsza siostra wspierali cię w tej twojej nastoletniej przygodzie z aktorstwem?

Pewnie. Byli obecni i wspierali mnie bardzo. To sprawiało, że bardzo chciałam grać w teatrze i w filmie. Kiedy trafiłam na scenę w wieku jedenastu lat i dostałam trudne do zaśpiewania utwory, przełamalam swój stres i nie wycofałam się. Fascynowało mnie to i wchodziłam w kolejne projekty.

Powszechną rozpoznawalność przyniosł ci serial „Blondynka”. Masz sentyment do roli Sylwii Kubus?

Mam sentyment do tego, jak ten serial był odebrany. Do dziś spotykam się z komentarzami, że ludzie oglą-

dali go dla mnie. To uznanie widzów i branży było dla mnie na tamten moment ważne i piękne. W końcu niby pracuje się dla siebie, ale przecież też i dla swych odbiorców. Ucieszyło mnie, że ktoś to poczuł i zrozumiał. Przy „Blondynce” wytworzyła się wokół mnie ogólnopolska sympatia i do dziś zdarza się, że ktoś po koncercie zaczepia mnie i mówi, że przyszedł na mój występ, bo znał mnie z „Blondynki”, a wcześniej nie wiedział, że śpiewam.

Myślisz, że ta serialowa popularność pomogła ci zaistnieć jako wokalistce?

Myślę, że z jednej strony ważne było to, iż niektórzy kojarzyli mnie z moich ról, a z drugiej – że weszłam z czymś zupełnie nowym. Do tego niektórzy mogli myśleć, że moje śpiewanie to będzie piosenka aktorska, a okazało się, że to w swej istocie alternatywny materiał. Jakakolwiek nie byłaby to motywacja, cieszę się, że tak dużo osób za mną podążyło i weszło w ten mój nowy świat.

Wydanie twojej debiutanckiej płyty „Parsley” w 2016 roku było dla ciebie tak potężnym emocjonalnie przeżyciem, że to dlatego machnęłaś wtedy ręką na aktorstwo?

Podjęłam decyzję o rezygnacji z aktorstwa wcześniej. Wyje-

chałam wtedy na sześć miesięcy do Azji i przemierzałam ją z plecakiem na motocyklu. To dodało mi na tyle odwagi, że po powrocie postanowiłam pokazać swoje piosenki światu i wydałam „Parsley”. Nie spodziewałam się oczywiście, że spotka się ona z tak dobrym przyjęciem i będę mogła żyć z muzyki. Tymczasem tuż po jej wydaniu udało mi się zagrać całą trasę koncertową – i to z dwukrotnym wyprzedaniem warszawskiej „Stodoły” na czele. Nie miałam wtedy aktorskich obowiązków i mogłam w pełni zaangażować się w muzyczne działania.

Teraz wracasz do „Parsley” podczas jubileuszowej trasy po Polsce. Jak zabrzmiała ta historia sprzed dekady, opowiedziana na nowo?

Równie słonecznie i uroczo, bo uważam, że utwory są nadal aktualne i ważne, dobrze się je śpiewa. Przez te dziesięć lat rozwinęłam się muzycznie, więc zabrzmiały trochę inaczej i chcę to zaznaczyć podczas tej trasy. Może trochę glam popowo? Nadal będą miały jednak ten hawajski sznyt, ciepły i organiczny ton. Dodam im nieco energii, ale takie ballady, jak „We Care So Much”, nadal będą w oryginalnej formie, tylko zostaną wyrażone przy użyciu innych środków. Duch będzie jednak ten sam. Jeśli ktoś będzie go chciał poczuć ponownie po tych dziesięciu latach, to jest ten odpowiedni moment, by się na tę trasę wybrać.

W jakim miejscu jesteś jako wokalistka po tych dziesięciu latach od debiutu?

Na pewno cały czas mam radość ze śpiewania, tworzenia muzyki, bycia na scenie i obcowania z ludźmi. To mi sprawia ogromną przyjemność. Czasem ktoś mnie pyta: „Jak ty tak możesz co weekend jeździć po Polsce? Dopiero byłaś we Wrocławiu, a już jedziesz do Gdańska. Jak możesz tak żyć?”. Wtedy odpowiadam: „To dla mnie wspaniałe. Ja po prostu to kocham”. (śmiej) Nie dopadło mnie bowiem zgnuszenie, a to przecież zawsze może się wydarzyć. A to dlatego, że chroniałam swój muzyczny świat, aby był jak najbardziej mój, zgodny z tym, co aktualnie czuję. To powoduje, że ciągle jestem autentyczną artystką. Wiadomo – trochę się zmieniłam, bo pracowałam ze świetnymi muzykami i producentami, spotkałam mnóstwo artystów i poobserwowałam, jak oni tworzą. Najważniejsze jednak, że nadal kocham muzykę i to się nie zmieniło. Mam nadzieję, że za następne dziesięć będę nadal w tym świecie działać za swoim.

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne lub nekrolog?

Przez internet: ibo.polskapress.pl
e-mail: bo.gazetalubuska@polskapress.pl

NASZE BIURA OGŁOSZEŃ

ZIELONA GÓRA al. Niepodległości 25
czynne pon.-pt. 8.00-15.00
tel. 510 026 518
e-mail: bo.gazetalubuska@polskapress.pl**GORZÓW WLKP.** ul. Sikorskiego 111 (Park 111, II p.)
czynne pon.-pt. 8.00-16.00
tel. 510 026 986
e-mail: bog.gazetalubuska@polskapress.pl**SŁUBICE** ul. T. Kościuszki 6/1
czynne pon.-pt. 8.30-16.30
tel. 95 75 80 760
e-mail: bos@gazetalubuska.pl

Nieruchomości

MIESZKANIA - SPRZEDAM

SPRZEDAM M4 i kupię M3. Osiedle Zacisze. tel. 607-420-082.

MIESZKANIA - KUPIĘ

KUPIĘ każde Mieszkanie lub Dom z dowolnym problemem prawnym, też Udziały, możliwa zamiana tel. 513474366, www.lcf.com.pl

Finanse biznes

KREDYTY, POŻYCZKI

FUNDUSZPOŻYCZKOWY oferuje pożyczki do 300 tys. zł na 60m-cy, oprocentowanie od 5,30%, bez żadnych dodatkowych opłat i prowizji na cele związane z rozwojem działalności gospodarczej na terenie Województwa Lubuskiego. Źródło finansowania: Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego UE i Zarząd Województwa Lubuskiego Tel. kontaktowy +48 600 052 223, k.joachimczak@ecdf.pl

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

FACHOWO i solidnie kompleksowe remonty mieszkań tel 603-380-166

MONTAŻOWE

OKNA, bramy drzwi, roletki, naprawy okien, montaż PlastMat. Tel. 68 470 19 70, Wrocławska 35.**OKNA**- rolety. Montaż- regulacja- naprawa. Ptasia 32/7B, tel. 535 530 555

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy koło Wadowic - Wielkanoc od 1100 do 1400zł. Możliwość dowozu 501-642-492

Matrymonialne

SAMOTNY, kulturalny 62-letni, wykształcenie średnie, emerytura zachodnia pozna samotną Panią do lat 60-ciu lub samotną matkę z dzieckiem/dziećmi. Zabezpieczy przyszłość. Cel znajomości: związek formalny lub związek wolny ale poważny i stały. Gwarancje spadkowe. tel. 42/687 08 10.**ZGRABNA** brunetka, 69 lat /170 cm, działalność, pozna uczciwego Pana od lat 65-ciu wwyż. Tel. 42 687 08 10

Różne

STARE książki skup, 881-934-948

Rolnicze

ZWIERZĘTA HODOWLANE

KURKI nioski z jajem dowóz 600539790

REKLAMA

0011484720

OGŁOSZENIE
WÓJTA GMINY SZCZANIEC

o rozpoczęciu konsultacji społecznych dotyczących projektu planu ogólnego gminy Szczaniec

Na podstawie art. 13i ust. 3 pkt 8 ustawy z dnia 27 marca 2003 r. o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym (tekst jednolity Dz. U. z 2024 poz. 1130 z późn. zm.) oraz uchwały Nr LXVII/268/2024 Rady Gminy Szczaniec z dnia 28 marca 2024 r. w sprawie przystąpienia do sporządzenia planu ogólnego gminy Szczaniec, **zawiadamiam o rozpoczęciu konsultacji społecznych dotyczących projektu Planu ogólnego gminy Szczaniec w dniach od 3 marca 2026 r. do 31 marca 2026 r.**

Zainteresowani mogą zapoznać się z niezbędną dokumentacją:

- o osobiście w siedzibie Urzędu Gminy Szczaniec, ul. Herbowa 30, Szczaniec, pok. 24 w godzinach przyjmowania interesantów,
- w Biuletynie Informacji Publicznej <https://bip.szczaniec.pl/>
- na stronie internetowej Gminy pod adresem: <https://www.szczaniec.pl/>
- w Systemie Informacji Przestrzennej Gminy <https://szczaniec.e-mapa.net/start/>

Konsultacje społeczne prowadzone będą w następujących formach:

- zbiórki uwag na formularzu pisma dotyczącego aktu planowania przestrzennego w dniach od 3 marca 2026 r. do 31 marca 2026 r.,
- spotkania otwartego, które odbędzie się w dniu 12 marca 2026 r., w Sali Wielofunkcyjnej CKiB ul. Herbowa 30, 66-225 Szczaniec o godz. 15:00,
- dyżuru projektanta, który odbędzie się w dniu 12 marca 2026 r., w Sali Wielofunkcyjnej CKiB ul. Herbowa 30, 66-225 Szczaniec w godzinach od 16:15 do 18:00.

Dodatkowo urbanista w dniu 19 marca 2026 r., będzie pełnił dyżury telefoniczne w godz. 9.00 – 10.00 oraz 17.00 – 18.00, pod numerem telefonu 509-222-269.

Projekt planu ogólnego można przeglądać przy użyciu dedykowanego oprogramowania QGIS lub przy wykorzystaniu przeglądarki danych planistycznych, udostępnionej przez Ministerstwo Rozwoju i Technologii pod https://aplikacje.gov.pl/app/gov_xml_validator/.

Równocześnie na podstawie art. 39 ustawy z dnia 3 października 2008 r. o udostępnianiu informacji o środowisku i jego ochronie, udziale społeczeństwa w ochronie środowiska oraz o ocenach oddziaływania na środowisko (tekst jednolity Dz. U. z 2024 r., poz. 1112 z późn. zm.), zawiadamiam, iż w związku z prowadzonym postępowaniem w sprawie strategicznej oceny oddziaływania na środowisko dla projektu planu ogólnego gminy Szczaniec, zgodnie z art. 46 pkt 1 ww. ustawy, istnieje możliwość zapoznania się z wykładanym projektem planu ogólnego, opracowaną prognozą oddziaływania na środowisko, opracowaniem ekofizjograficznym, stanowiskami innych organów oraz możliwość składania uwag.

Uwagi składa się na piśmie utrwalonym w postaci papierowej lub elektronicznej, w tym za pomocą środków komunikacji elektronicznej, w szczególności poczty elektronicznej, na formularzu w postaci papierowej lub w formie dokumentu elektronicznego. Składający uwagę podaje swoje imię i nazwisko albo nazwę oraz adres zamieszkania albo siedziby oraz adres poczty elektronicznej, o ile taki posiada, a także wskazuje czy jest właścicielem lub użytkownikiem wieczystym nieruchomości objętej uwagą, oraz może podać dodatkowe dane do kontaktu takie jak adres do korespondencji lub numer telefonu.

Uwagi należy składać wyłącznie na formularzu, którego wzór wynika z Rozporządzenia Ministra Rozwoju i Technologii z dnia 13 listopada 2023 r. (Dz. U. z 2023 r., poz. 2509), zamieszczonym w pod adresem: <https://www.gov.pl/web/rozwoj-technologie/formularz-pisma-dotyczacego-aktu-planowania-przestrzennego>. Formularz pisma dotyczącego aktu planowania przestrzennego udostępniono również w Biuletynie Informacji Publicznej i na stronie internetowej gminy Szczaniec: <https://www.szczaniec.pl/> oraz w Systemie Informacji Przestrzennej Gminy <https://szczaniec.e-mapa.net/start/>. Formularz pisma znajduje się również w Urzędzie Gminy Szczaniec, ul. Herbowa 30, w pok. 24.W przypadku poczty elektronicznej - uwagi należy kierować na adres: ug@szczaniec.pl.

W przypadku platformy usług administracji publicznej e-PUAP - uwagi należy kierować na adres: /93k0frn8vg/SkrytkaESP

W przypadku doręczeń elektronicznych - uwagi należy kierować na adres: **AE:PL-25318-78193-AABVC-13**

Uwagi w formie papierowej należy wnieść:

- osobiście w Urzędzie Gminy Szczaniec, ul. Herbowa 30, 66-225 Szczaniec
- drogą pocztową na adres: Urząd Gminy Szczaniec, ul. Herbowa 30, 66-225 Szczaniec.

UWAGA: Liczy się data wpływu uwagi do tutaj. Urzędu, a uwagi niespełniające powyżej wskazanych warunków pozostawi się bez rozpatrzenia.

Wójt Gminy Szczaniec

Klauzula Informacyjna dotycząca przetwarzania danych osobowych dostępna na <https://bip.szczaniec.pl/372/RODO/>

REKLAMA

0011475379

Stacja demontażu pojazdów
ZŁOMUJGRATA.PL
KASACJA POJAZDÓW
64-100 Lasocice k. Leszna
ul. Wschodnia 36A (przy 55)
500 545 500

REKLAMA

0011485477

INFORMACJA
STAROSTY SŁUBICKIEGO
W siedzibie Starostwa Powiatowego w Słubicach na okres 21 dni wywieszono wykaz nieruchomości Skarbu Państwa, oznaczonej dz. ewid. 70/3, położoną w Krzesinie, gm. Cybinka, przeznaczoną do dzierżawy na okres do 3 lat. Wykaz wywieszono 24.02.2026 r.

REKLAMA

0011471349

INFORMATOR POGRZEBOWY

KAMIŃSCY Zielona Góra, ul. Kościelna 4, Zyty 19, tel. 693 424 440; 68-3230509 oraz Polkowice ul. Spokojna 1; Legnica ul. Chojnowska 7; Szprotawa ul. Kościuszki 31A przewóz zmarłych 24 godz., kompleksowa organizacja pogrzebów oraz transmisja pogrzebu online.**MIEJSKI ZAKŁAD POGRZEBOWY**
Zielona Góra, Masarska 13, tel. 68-3202235, 68-3202232, przewóz zwłok, kompleksowa obsługa pogrzebów 601798365 całą dobę.**PRO MORTE** Gorzów Wlkp. ul. Żwirowa 19E, tel. 95-7810083
Organizacja Pogrzebów, Pogotowie Pogrzebowe 24 h.

REKLAMA

0011459133

ZŁOMOWANIE POJAZDÓW
tel. 600 609 606
Wszystkie formalności zafatwiamy na miejscu
Płatność gotówką od ręki
Wydajemy zaświadczenie o demontażu
Odbieramy własnym transportem
Cenimy Twój czas!

Stacja demontażu pojazdów | Czarkowo 16 | 64-125 Poniec



AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne

w Twojej gazecie zlecisz bez wychodzenia z domu przez Internetowe Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

REKLAMA

0011485714

OGŁOSZENIE O PRZETARGUKierownik Zakładu Gospodarki Lokalowej w Międzyrzeczu ogłasza
II przetarg ustny nieograniczony na wydzierżawienie na okres do 3 lat nieruchomości gruntowej
stanowiącej własność Gminy Międzyrzecz

Lp.	Położenie nieruchomości gruntowej	Nr ewid. działki	Pow. działki w m ²	Nr KW	Powierzchnia przeznaczona do wydzierżawienia w m ²	Wywoławcza stawka netto w zł za dzierżawę 1 m ²	Wywoławcza wysokość czynszu dzierżawnego brutto w zł	Wysokość wadium w zł	Data i godz. przetargu
ZGL.4061.3.2025									
1	Obręb 2 – Międzyrzecz, ul. Dąbrowskiego	291/6	1020	GW1M/00020027/1	31,03	20,00	856,08	50,00	8.04.2026 r. godz. 9 ⁰⁰
		290	1291		3,77				
ZGL.4061.4.2025									
2	Obręb 2 – Międzyrzecz, ul. Dąbrowskiego	291/6	1020	GW1M/00020027/1	31,03	20,00	856,08	50,00	8.04.2026 r. godz. 10 ⁰⁰
		290	1291		3,77				

Przetargi odbędą się w siedzibie ZGL w Międzyrzeczu, ul. Krótka 2 (pokój nr 5).

Warunkiem przystąpienia do przetargu jest **wpłacenie do 3.04.2026 r. wadium** na rachunek bankowy ZGL numer **90 1600 1462 1030 5778 2000 0002** w banku BNP Paribas Bank Polska S.A. – **liczy się data wpływu na rachunek bankowy**. Na dowodzie wpłaty wadium należy wskazać numer przetargu o treści: „Przetarg - ZGL.4061.3.2025”, lub „Przetarg - ZGL.4061.4.2025” oraz **nazwisko i imię osoby przystępującej do przetargu**.Informację na temat przetargu można uzyskać pod nr tel. **95 721 15 92**.Istnieje możliwość obejrzenia nieruchomości w dniu 30.03.2026 r. w godzinach: 11⁰⁰ - 12⁰⁰, po wcześniejszym umówieniu z pracownikiem Zakładu.Ogłoszenie o przetargach zamieszczone jest w Biuletynie Informacji Publicznej Urzędu Miejskiego (www.bip.miedzyrzecz.pl) i ZGL (www.bip.zgl.miedzyrzecz.pl) oraz na tablicy informacyjnej ZGL i Urzędu Miejskiego w Międzyrzeczu.

REKLAMA

0011484076

**BURMISTRZ MIASTA ŻARÓW**

ogłasza

I przetarg ustny nieograniczony na najem lokalu niemieszkalnego (pomieszczenia na prowadzenie siłowni sportowej), położonego w Żarowie przy al. Janusza Korczaka 1, dz. nr 941/27, KW nr SW1S/00051389/8, na parterze budynku noclegowo-rekreacyjnego, o łącznej powierzchni użytkowej **369,10 m²**.W skład lokalu wchodzi: pomieszczenie siłowni o pow. 197 m², sala fitness o pow. 88,70 m², 2 szatnie o pow. 13 m² i 13,20 m², 2 x w.c. z przedsiódkami o pow. łącznej 18,5 m², 2 x natryski o pow. łącznej 17,8 m², pomieszczenie magazynowe o pow. 5,10 m², korytarz o pow. 12,2 m², recepcja o pow. 3,6 m².Lokal znajduje się w budowanym budynku noclegowo-rekreacyjnym, który zostanie oddany do użytku w terminie do 30.05.2026 r. Umowa najmu zawarta zostanie na okres 10 lat, licząc od dnia 1.07.2026 r. z możliwością podpisania umowy najmu we wcześniejszym terminie w przypadku wcześniejszego odbioru i oddania do użytkowania budynku.Przetarg odbędzie się w dniu **31.03.2026 r. o godz. 10.00 w Urzędzie Miejskim w Żarowie**, ul. Zamkowa 2, II piętro, pokój nr 19.Przetarg polegać będzie na licytacji stawki czynszowej za 1 m² powierzchni użytkowej lokalu, płatnej w stosunku miesięcznym, do 10. dnia każdego miesiąca.**Stawka wyjściowa do przetargu wynosi 27 zł za 1 m² netto (do wylicytowanej stawki czynszu zostanie doliczony podatek VAT 23%)****Wysokość postąpienia – nie mniej niż 0,27 zł**

Warunkiem przystąpienia do przetargu jest:

Wpłata wadium w wysokości **1000 zł** na konto: Santander Bank 97 1090 2369 0000 0001 4749 3760 **najpóźniej do dnia 27 marca 2026 r. włącznie**. Za datę wniesienia wadium uważa się datę wpływu środków pieniężnych na rachunek Urzędu Miejskiego w Żarowie.

Wadium wpłacone przez uczestnika, który wygra przetarg, zaliczone zostanie na poczet pierwszego czynszu najmu, pozostałym uczestnikom wadium zwrócone zostanie w terminie do 3 dni od dnia zakończenia przetargu.

Przetarg jest ważny bez względu na liczbę uczestników, jeżeli chociaż jeden uczestnik zaoferuje cenę o co najmniej jedno postąpienie powyżej stawki wyjściowej.

Ogłoszenie o przetargu wraz ze wzorem umowy oraz szkicem lokalu umieszczone jest na stronie internetowej Urzędu: www.um.zarow.pl.Uczestnik zobowiązany jest do przedłożenia komisji przetargowej dowodu wpłaty wadium oraz dokumentu tożsamości przed otwarciem przetargu.

W przypadku, gdy uczestnikiem przetargu jest osoba prawna, osoba upoważniona do reprezentowania uczestnika powinna przedłożyć do wglądu aktualny wypis z Krajowego Rejestru Sądowego.

Jeżeli uczestnik jest reprezentowany przez pełnomocnika, konieczne jest przedłożenie oryginału pełnomocnictwa upoważniającego do działania na każdym etapie postępowania przetargowego (dotyczy także małżeństw, gdy tylko jedno z małżonków jest obecne na przetargu).

Wpłata wadium przez uczestnika przetargu jest równoznaczna z potwierdzeniem przez niego faktu zapoznania się z warunkami przetargu i ich akceptacją oraz treścią klauzuli informacyjnej (RODO).Informacje o nieruchomości można uzyskać w Referacie Nieruchomości, Gospodarki Przestrzennej i Lokalowej UM w Żarowie, ul. Zamkowa 2, pokój nr 21, II piętro, tel. 74 306 73 01, e-mail: w.chodorowski@um.zarow.pl.**Burmistrz Miasta Żarów zastrzega sobie prawo do odwołania przetargu z ważnych powodów.**

REKLAMA

0011485000

**OGŁOSZENIE
BURMISTRZA TRZCIELA****o przystąpieniu do sporządzenia miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego dla terenu położonego w obrębie geodezyjnym Brójce, gm. Trzciel oraz przeprowadzenia strategicznej oceny oddziaływania na środowisko**Na podstawie art. 17 pkt 1 ustawy z dnia 27.03.2003 r. o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym (t.j. Dz.U. z 2024 r. poz. 1130 ze zm.) oraz na podstawie art. 39 ust.1, art. 46 ust. 1, art. 54 ust. 1 ustawy z dnia 3.10.2008 r. o udostępnianiu informacji o środowisku i jego ochronie, udziale społeczeństwa w ochronie środowiska oraz o ocenach oddziaływania na środowisko (t.j. Dz.U. z 2024 r. poz. 1112 ze zm.), zawiadamiam o podjęciu przez Radę Miejską w Trzciel uchwaly nr XVIII/146/2025 z dnia 28 listopada 2025 r. w sprawie przystąpienia do sporządzenia miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego dla terenu położonego w obrębie geodezyjnym Brójce, gm. Trzciel oraz przeprowadzenia strategicznej oceny oddziaływania na środowisko. Zainteresowani mogą składać wnioski do miejscowego planu oraz do prognozy oddziaływania na środowisko w terminie do **21 dni** od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia na formularzu w formie pisemnej w postaci papierowej lub elektronicznej, w tym za pomocą środków komunikacji elektronicznej, w szczególności poczty elektronicznej, na formularzu w postaci papierowej lub w formie dokumentu elektronicznego lub ustnie do protokołu, na adres: urzad@trzciel.pl lub do tymczasowej siedziby Urzędu Miejskiego w Trzciel, Plac Wolności 21, 66-320 Trzciel. Wniosek powinien zawierać imię i nazwisko albo nazwę oraz adres zamieszkania albo siedziby oraz adres poczty elektronicznej, o ile taki posiada, a także wskazanie, czy wnioskodawca jest właścicielem lub użytkownikiem wieczystym nieruchomości objętej wnioskiem, dodatkowo może zawierać dane do kontaktu, takie jak adres do korespondencji lub numer telefonu.

Formularz dostępny jest w siedzibie tutejszego urzędu oraz na stronie Biuletynu Informacji Publicznej Urzędu Miasta i Gminy Trzciel. Organem właściwym do rozpatrzenia złożonych wniosków będzie Burmistrz Miasta i Gminy Trzciel.

Wnioski złożone po upływie ww. terminu pozostają bez rozpatrzenia.

Jacek Ignorek
Burmistrz Trzcienia

REKLAMA

0011482818

STAROSTA WĄGROWIECKI
GN.6821.15.2025.GN1

Wągrowiec, 18 lutego 2026 r.

OGŁOSZENIE

Na podstawie art. 113 ust. 5-7 oraz art. 114 ust. 3 i 4 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (j.t. Dz.U. z 2024 r., poz. 1145 ze zm.)

Starosta Wągrowiecki zawiadamiao zamiarze wszczęcia postępowania wywłaszczeniowego w celu pozbawienia prawa własności udziału wynoszącego 15/32 w nieruchomości położonej w Wągrowcu, gmina Wągrowiec, oznaczonej ewidencyjnie obręb Wągrowiec miasto, arkusz mapy 14, działka nr **1255** o powierzchni 0,0484 ha, zapisanej w księdze wieczystej PO1B/00072268/1, której stan prawny jest nieuregulowany.

Jeśli w terminie 2 miesięcy od dnia niniejszego ogłoszenia, nie zgłoszą się osoby, którym przysługują prawa rzeczowe do opisanej nieruchomości, zostanie wszczęte postępowanie administracyjne w trybie art. 115 ustawy o gospodarce nieruchomościami, z pominięciem ww. osób, jako stron postępowania.

TOMASZ KRANC
STAROSTA WĄGROWIECKI

REKLAMA

0011478926

SPECJALISTYCZNA PRAKTYKA LEKARSKA
„JEDNO SERCE”**lek. Katarzyna Grela-Cyndecka**

Specjalista Chorób Wewnętrznych

Kardiolog

Specjalista Medycyny Pracy

**DIAGNOSTYKA KARDIOLOGICZNA**

EKG, holter EKG, holter ciśnieniowy, test wysiłkowy, echo serca

GABINET MEDYCyny PRACY

BADANIA: Profilaktyczne pracowników, kierowców, sanitarno-epidemiologiczne, do pozw. na broń.

PRZYJĘCIA PO REJESTRACJI TELEFONICZNEJ**REJESTRACJA WTOREK, ŚRODA, CZWARTEK w GODZ. od 9.00 do 17.00 ☎ 517 057 501****MIĘDZYRZECZ, ul. 30 Stycznia 35A**

Koniec zimowego szaleństwa. Transferowy Deadline Day już za nami

Jacek Czaplowski
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Miniona środa była ostatnim dniem zimowego okienka transferowego w Polsce. Na finiszu aktywne były głównie cztery kluby PKO Ekstraklasy.

Nowy, wewnętrzny rekord ligi ustanowił Widzew Łódź, który tym sposobem jednocześnie podreperował budżet Legii Warszawa, czego zresztą nie ukrywają w stolicy.

Tej zimy Widzew wydał blisko 70 mln złotych na wzmocnienia, czyli tyle ile żaden inny polski klub nigdy wcześniej. Podczas jednego okienka ustanowił aż trzy rekordy. Dokonał najdroższego transferu w historii ekstraklasy (5,5 mln euro za Osmana Bukarięgo), sprowadził najdroższego Polaka (ponad 3 mln euro za Przemysława Wiśniewskiego) i jeszcze podczas ostatniego dnia wyrubował wewnętrzny rekord ligi, a co najmniej 2 mln euro ściągając bowiem legionistę Steve'a Kapuadięgo.



Steve Kapuadi przeszedł z Legii Warszawa do łódzkiego Widzewa na zasadzie transferu definitywnego

Z powodu kupna reprezentanta Demokratycznej Republiki Konga Widzew musiał opuścić grecki obrońca Polydefkis Volanakis, z którym właśnie rozwiązano umowę.

Ciekawie działało się również w Pogoni Szczecin. Za 500 tys. euro dołączył do niej prawoskrzydłowy Mads Agger, rodak duńskiego trenera Thomasa Thomasberga. Ponadto z akademii włoskiego Torino został ściągnięty nastoletni Igor Brzyski.

Dwa transfery rzutem na taśmę przeprowadziła jeszcze Wisła Płock, ściągając do ataku Bośniaka Saida Hamulicia i do pomocy mającego przeszłość m.in. w Lidze Mistrzów Greka Kyriakosa Savvidisa. Z kolei Górniki Zabrze wypożyczył ze Slavii Praga Czecha Ondreja Zmrzly'ego występującego na lewym boku obrony. Czy to koniec transferów? Do polskich klubów tak. Z polskich - niekoniecznie. Wciąż otwarte jest bowiem okienko m.in. w USA, dokąd w poprzednich latach odchodziło wielu uznanych ligowców.

©©

Goście z Polski i z całego świata zjeżdżają do Grodu Kopernika

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

LEKKA ATLETYKA. Przed nami jubileuszowa, 70. edycja lekkoatletycznych halowych mistrzostw Polski. Podobnie jak przez ostatnią dekadę gospodarzem imprezy będzie „Arena Toruń”.

Impreza potrwa od najbliższej soboty do niedzieli i dla wielu będzie ostatnim sprawdzianem przed najważniejszym startem sezonu halowego - mistrzostwami świata, które w dniach 20-22 marca br. zagospodarzą do... Torunia.

W kilku przypadkach zaskakuje absencja zawodników. Na starcie zabraknie m.in. sprintera Marka Zakrzewskiego, 400-metrowców Karola Zalewskiego i Igora Bogaczyńskiego, milera Filipa Raka czy kulomioty Michała Haratyka.

Szczególną uwagę skupia natomiast jedna zawodniczka, którą zaledwie kilka dni wcześniej widzieliśmy w zupełnie innej roli... O kim mowa?

Szybka zmiana

Po starcie na torze „Cortina Sliding Centre” w Cortinie d'Ampezzo Klaudia Adamek została pierwszym polskim sportowcem, który uczestniczył zarówno w letnich, jak i w zimowych igrzyskach olimpijskich.

Ostatecznie nasza osada bobslejowa pilotowana przez Lindę Weiszewską (przed laty również sprinterka) i rozpychającą (hamulcową) Adamek została sklasyfikowana na 18. miejscu w gronie 20 startujących...

Minęło kilka dni i Klaudię zobaczymy na... lekkoatletycznych halowych mistrzostwach Polski. Bobsleistka WKS Flota Gdynia, a sprinterka... MKL Szczecin, jest zgłoszona w Toruniu w dwóch



W tym sezonie Jakub Szumański jest wciąż niepokonany. - Plan jest taki, aby powiedzieć to samo po HMŚ - mówi

konkurencjach: w biegach na 60 i 200 metrów!

Przed laty Adamek była czołową sprinterką kraju - wygrała mistrzostwa Polski juniorów (2017 r.) i młodzieżowców (2020 r.) na 100 metrów.

Na Igrzyskach XXXII Olimpiady w Tokio Klaudia wystartowała - na drugiej zmianie - w sztafecie 4 x 100 metrów. Niestety, nasze dziewczyny (Mariana Popowicz-Drapała, Paulina Paluch i Pia Skrzyszowska) odpadły już w eliminacjach, zajmując 4. miejsce w swojej serii (43,09 s). Udział w imprezie zakończyły na 10. miejscu.

W Toruniu Adamek zmierzy się na 60 metrów m.in. z wracającą do wysokiej formy

Ewą Swobodą (w minioną niedzielę, na mityngu „ORLEN Copernicus Cup”, uzyskała czas 7,09 s).

Kto na HMŚ?

W Toruniu zobaczymy w sumie ponad 500 sportowców. Największym wzięciem cieszą się tradycyjnie sprinty, chociaż frekwencja na 200 metrów może nieco dziwić: do rywalizacji pań na tym dystansie zgłosiło się aż 32 niewiast (więcej niż do „sześćdziesiątki”), a do zmagania na 60 metrów mężczyzn gotowych jest 31 dżentelmenów.

Kto już dzisiaj może liczyć na udział w HMŚ? Oto szczegóły (Q oznacza kwalifikację pełną na podstawie minimum, q

oznacza kwalifikację z tabel zmieniających się z każdym dniem).

Kobiety

60 m (na HMŚ mogą wystąpić tylko dwie Polki): Ewa Swoboda Q, Pia Skrzyszowska Q (zawodniczka deklaruje jednak start tylko na płotkach), Jagoda Mierzyńska Q, Magdalena Stefanowicz q, Magdalena Niemczyk q (z powodu problemów zdrowotnych zakończyła już sezon halowy);

400 m: Natalia Bukowiecka Q; 800 m: Anna Wielgosz Q, Klaudia Kazimierska Q (wydaje się, że na HMŚ wystartuje jednak na 1500 metrów);

1500 m: Klaudia Kazimierska Q;

60 m ppł. (na HMŚ mogą wystąpić tylko dwie Polki): Pia Skrzyszowska Q, Alicja Sielska q, Klaudia Wojtunik q, Kaja Wesołowska q;

wzwyż: Maria Żodzik Q; w dal: Anna Matuszewicz Q; pięciobój: Adrianna Sułek-Schubert q, Paulina Ligarska q.

Mężczyźni

60 m: Oliwier Wdowik Q, Dominik Kopeć Q;

800 m: Maciej Wyderka Q, Filip Ostrowski Q;

1500 m: Kamil Herzyk q; 60 m ppł.: Jakub Szumański Q, Damian Czykier Q;

wzwyż: Mateusz Kołodziej-ski Q;

kula: Konrad Bukowiecki q. Decyzja o wysłaniu sztafety (4 x 400 pań i panów + mikst) należy do PZLA.

Co ciekawe, polskie kryteria kwalifikacji na zawody tej rangi są wyższe niż... międzynarodowe.

Do 9 marca World Athletics opublikuje listę zakwalifikowanych zawodników oraz listę rezerwową.

©©

Kto z kim zagra w Lidze Mistrzów? Zostało nam tylko trzech Polaków

Jacek Czaplowski
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Robert Lewandowski i Wojciech Szczęsny z FC Barcelony oraz Nicola Zalewski z Atalanty Bergamo - tylko tych trzech Polaków pozostało już w grze o elitarną Ligę Mistrzów.

Wkrótce po godz. 12 w szwajcarskim Nyonie nad Jeziorem Genewskim ich drużyny poznają rywali w 1/8 finału, a także w potencjalnym ćwierćfinale i półfinale, bo UEFA zaplano-

wała rozlosowanie drabinki do końca edycji.

Finisz pierwszej fazy pucharowej był isticie piorunujący. W środowy wieczór Juventus Turyn - mimo czerwonej kartki pokazanej w 48. minucie Lloydowni Kelly'emu - odrobił trzy bramki w meczu z Galatasaray, ale umęczony poległ z nim w dogrywce, tracąc dwie.

Losy dwumeczu odwróciła za to rewelacyjna Atalanta Bergamo, rozbijając w rewanżu Borussia Dortmund 4:1, w czym udział miał wspomniany Zalewski, chwalony przez włoskie

media za akcje lewą stroną. Nie spodziewane meczarnie spotkały za to Paris Saint-Germain. Ubiegłoroczny triumfator tylko zremisował z AS Monaco. Planowo i bez zbędnych nerwów, mimo nieobecności Kyliana Mbappe, wygrał za to Real Madryt - z Benfiką Lizbona prowadzoną przez Jose Mourinho.

Dzień wcześniej sensacyjnie odpadł finalista poprzedniej edycji Inter Mediolan z Piotrem Zielińskim w składzie, przegrywając także u siebie z rewelacyjnym norweskim Bodø/Glimt. Z niechlubnym rekordem

udział w Lidze Mistrzów zakończył z kolei Mateusz Kochalski. Polski bramkarz z azerskiego Karabachu Agdam jako pierwszy w historii wpuszcł 30 bramek. W samym pożegnalnym dwumeczu z Newcastle aż 9 razy musiał sięgać po piłkę do siatki.

W południe poznamy parę kolejnej rundy, która zostanie rozegrana w marcu krótko przed barażami Polski o MŚ 2026. Na pewno dojdzie do kilku hitów. Barcelona może trafić w losowaniu na PSG lub Newcastle United. Real czeka

dwumecz ze Sportingiem Lizbona bądź Manchesterem City, którego potencjalnym rywalem jest też Bodø/Glimt.

Atalanta los skrzyżuje z Bayernem Monachium lub Arsenalem. Co z Liverpoolem? Albo zagra z pogromcą Juventusu (Galatasaray Stambuł), albo ponownie spotka się z Atletico Madryt.

W grze o najbardziej prestiżowe trofeum w piłce klubowej pozostały drużyny z ośmiu krajów. Najwięcej, czyli sześć, posiada Anglia. Trzy ma Hiszpania, dwa Niemcy, po jednej

Francja, Norwegia, Portugalia, Włochy oraz Turcja.

Tegoroczny finał zaplanowano na 30 maja na stadionie „Puskas Arena” w węgierskim Budapeszcie.©©

Terminarz Ligi Mistrzów do końca edycji

1/8 finału: 10-11 marca i 17-18 marca;

1/4 finału: 7-8 kwietnia i 14-15 kwietnia;

1/2 finału: 28-29 kwietnia i 5-6 maja;

finał - 30 maja.



Aleksandra Jeż podczas Gali Sportu Lubuskiego odebrała statuetkę dla Młodzieżowego Sportowca Roku 2025

LEKKA ATLETYKA ALEKSANDRA JEŻ - OBIECUJĄCA SPRINTERKA O ARTYSTYCZNEJ DUSZY

Robert Gorbat
rgorbat@gazetalubuska.pl

- Często oglądam w telewizji najważniejsze zawody na świecie i wyobrażam sobie, że stoję na linii startu. Chciałabym, by kiedyś się to spełniło - mówi Aleksandra Jeż, lekkoatletka AZS AWF Gorzów, wyróżniona tytułem Młodzieżowego Sportowca Roku 2025 w Plebiscyście Sportowym „Gazety Lubuskiej”.

Wiem, że jest pani zodiakalnym Lwem, ale kibice nie mieli jeszcze okazji bliżej pani poznać. Proszę powiedzieć kilka słów o sobie.

Pochodzę z Gorzowa, ale pięć lat temu przeprowadziłam się z rodziną do podgorzowskiego Karnina. Trzeciego sierpnia skończyę 19 lat. Jestem uczennicą czwartej klasy VII LO w Szkole Mistrzostwa Sportowego w Gorzowie. Za trzy miesiące czeka mnie matura. Problemów z nauką nie mam, staram się uzyskiwać jak najlepsze oceny. Od jesieni chciałabym rozpocząć studia na kierunku wychowanie fizyczne w gorzowskim AWF lub innym w AJP. Jeszcze nie wymyśliłam, na jakim. Sport to nie wszystko, trzeba dbać o wykształcenie.

Pomówmy jednak o sporcie. Od kiedy go pani uprawia?

Od trzeciego roku życia. Osiem lat tańczyłam w Zespole Tancerzy Aluzja, próbowałam akrobatyki sportowej i koszykówki. Na pewno rozwinęło mnie to ruchowo. Pewnego dnia pani ze Szkoły Podstawowej numer 11, do której uczęszczałam, zabrała mnie w Gorzowie na lekkoatletyczny czwartelek. To było w 2019 roku. Mówiła, że jestem szybka i dam

Plebiscytowa statuetka stanęła obok medali

sobie radę. Tam zauważył mnie trener Sebastian Papuga z AZS AWF. W tym klubie trenował już mój kuzyn, więc skojarzył nazwisko.

Od razu trafiła pani do sprintu?

Nie, najpierw były zajęcia ogólnorozwojowe. Robiłam wszystko: skakałam w dal, próbowałam biegać przez płotki. Ostatecznie zostałam przy sprincie, bo w tej konkurencji osiągałam najlepsze wyniki, najlepiej mi wychodziła.

Ma pani za sobą sześć lat treningów i sporo sukcesów. Proszę o nich opowiedzieć.

W wieku 15 lat zdobyłam swój pierwszy medal - srebrny w biegu na 300 metrów podczas mistrzostw Polski młodzieckich U-16. Łącznie w mistrzostwach kraju i na międzynarodowych imprezach jedenaście razy stawałam do tej pory na podium - zarówno indywidualnie, jak też w sztafetach. W kategoriach od U-16 do U-20. W sztafetach także wśród seniorów. Moje życiowe rekordy w hali to 7,50 na 60 metrów i 24,38 na 200 metrów. Obydwa ustanowiłam ostatnio w ciągu 15 minut podczas mitingu Orlen Cup w Toruniu.

A na otwartym stadionie: 11,66 na 100 metrów i 24,05 na 200 metrów. Nie próbowałam jeszcze swoich sił na 400 metrów, bo to bardzo trudna konkurencja. Trzeba w niej połączyć szybkość z wytrzymałością.

W międzynarodowej rywalizacji ma pani w dorobku dwa krążki: srebrny w tak zwanej sztafecie szwedzkiej w mistrzostwach Europy U-18 w słowackiej Bańskiej Bystrzycy oraz brązowy w sztafecie 4x100 metrów w mistrzostwach Europy U-20 w fińskim Tampere. Który jest cenniejszy?

Obydwa cenię sobie wysoko, lecz ten z Tampere ma niewątpliwie wyższą rangę. Sztafeta szwedzka polega na tym, że jej kolejni uczestnicy pokonują 100, 200, 300 i 400 metrów. Ja pobiegłam na 200. W Tampere wystąpiłam w eliminacyjnym biegu na drugiej zmianie, wspólnie z Małgorzatą Pojetą, Oliwią Kasprzak i Jagodą Żukowską. Miałymy najlepszy czas eliminacji - 44,63 - i wielką nadzieję na sukces w finale. Skończyło się trzecim miejscem, które absolutnie nie było dla nas rozczarowaniem. Powiem więcej: jesteśmy z niego dumne! Ja w decydują-

cym biegu nie wystąpiłam, gdyż decyzją trenera zastąpiła mnie Wiktoria Gajosz. Ale na podium stanęłam i odebrałam medal, bo miałam swój udział w końcowym wyniku sztafety. Drużynę tworzyło łącznie sześć dziewczyn, więc trener Giza musiał tak ustawić nasze występy, by z jednej strony zapewnić jak najsilniejszy skład sztafety, a z drugiej uwzględnić indywidualne starty. Inne zespoły postępowały podobnie.

Kiedy trafiła pani do kadry narodowej?

W 2023 roku, miałam wtedy niespełna 16 lat. Czyli dość szybko, ale z drugiej strony... nie za szybko. Łatwo zaadaptowałam się w nowym środowisku, bo również w kadrze moim trenerem był pan Sebastian Papuga. Od tego roku to się zmieniło. W reprezentacji pracuję już z Andrzejem Gizą i Mateuszem Diakiem.

Wasz udział w zawodach trwa zaledwie kilkanaście, góra kilkadziesiąt sekund. Jak wygląda trening sprinterki? Ile czasu spędza pani na zajęciach?

Trenuję sześć razy w tygodniu po dwie godziny. Czasem dwa

razy dziennie. By osiągnąć szczytową formę, trzeba przejść naprawdę długą drogę. Nie jest łatwo, ale te treningi są czymś, co bardzo lubię. Po prostu sprawiają mi przyjemność. Kibice rzeczywiście widzą nas na bieżni tylko przez kilkanaście sekund, tymczasem my przygotowujemy się do tego przez całe życie. Taka specyfika konkurencji.

Często wyjeżdża pani na zgrupowania kadry?

Od czterech do sześciu razy w roku. Także za granicę. W tym roku będę w Hiszpanii i Turcji. Nie mam problemów z pogodzeniem wyjazdów z nauką. W Szkole Mistrzostwa Sportowego taka sytuacja nikogo nie dziwi, nauczyciele są przyzwyczajeni, że uczniowie często są nieobecni. Jeśli trzeba, umawiamy się na indywidualne sprawdziany.

W przyszłym roku skończy pani 20 lat i automatycznie przejdzie do grupy U-23. Czy obawia się pani przekroczenia tego progu?

Przygotowuję się do tego momentu od wielu lat. Zaczęłam starty w wieku 15 lat w kategorii U-16, potem były kolejne szczeble. Cały czas rozmawiam z trenerem Sebastianem Papugą. Staram się mieć chłodną głowę i tak pracować, by nie eksploatować zbytnio organizmu. To nie jest łatwe zadanie, by racjonalnie poprowadzić treningi od wieku 15 lat do seniora i z roku na rok notować progres w wynikach. Myślę, że najważniejsze jest odpowiednie poprowadzenie zajęć w młodym wieku, by nie przesadzić z obciążeniami. Z każdym sezonem stopniowo, ostrożnie je zwiększamy. Nie wiem, jaki będzie finalny efekt, ale na razie wszystko idzie powoli do przodu.

Potrąfi pani powiedzieć, jaki poziom może osiągnąć w ciągu kilku najbliższych lat?

Trenując nigdy nie myślę o konkretnym wyniku. Bo trudno go przewidzieć. Na początku ubiegłego roku biegałam na 100 metrów w około 12 sekund, a na mistrzostwach Polski osiągnęłam rezultat 11,66. Czyli zaliczyłam naprawdę duży progres, który dla mnie samej był dużym zaskoczeniem.

A marzenia? Takie, których na razie pani głośno nie wypowiada?

Na pewno start w igrzyskach olimpijskich. Często oglądam w telewizji najważniejsze zawody na świecie i wyobrażam sobie, że stoję na linii startu. Chciałabym, by kiedyś się to spełniło. Na razie mam jednak bardziej konkretne plany: tegoroczne mistrzostwa świata U-20 w amerykańskim Eugene. Zrobię wszystko, by się tam dostać.

Czy sprinterki mają jakiś optymalny wiek do osiągania najlepszych wyników?

To bardzo indywidualna kwestia. Zależy od treningu i biologicznego dojrzewania. Ale generalnie poniżej 30. roku życia.

W Gorzowie mamy od niedawna piękny stadion lekkoatletyczny, ale wciąż brakuje hali do trenowania tej dyscypliny sportu. Czy pani środowisko nie obawia się, że po zdaniu matury „wyfrunie” pani do innego ośrodka, który zagwarantuje pani lepsze warunki przygotowań?

Rzeczywiście, w hali OSiR przy ulicy Słowiańskiej mamy tylko 38-metrową bieżnię. Kiedy trenujemy przed sezonem halowym, to musimy robić interwały, odbijając się od materaca, żeby przebiegnięty odcinek był dłuższy niż 40 metrów. Ale ciężko będzie mnie przekonać do zmiany miejsca. Trenuję z panem Sebastianem Papugą, od kiedy pamiętam, doskonale się rozumiemy. I osiągamy coraz lepsze wyniki. Tutaj jest moje miasto, środowisko. Jestem osobą, która lubi stabilizację. Wręcz jej potrzebuję.

A co lubi pani robić w wolnych chwilach?

Mam trochę artystyczną duszę, więc czasem rysuję. Lubię też słuchać muzyki i czytać książki.

29 stycznia mieliśmy przyjemność honorować panią jako Młodzieżowego Sportowca Roku 2025 w Plebiscyście Sportowym „Gazety Lubuskiej”.

Jak pani przyjęła to wyróżnienie i czym jest ono dla pani?

Absolutnie się go nie spodziewałam. Byłam bardzo zaskoczona, gdy zadzwonił do mnie w tej sprawie dyrektor AZS AWF Marek Zachara. Kiedy już znalazłam się na scenie i byłam wyróżniana, poczułam ogromną radość. Ba, dumę! Z tego powodu, że została doceniona ogromna praca, jaką wykonuję i w którą bardzo się angażuję. Wiem, że tytuł Młodzieżowego Sportowca Roku pojawił się w plebiscyście „Gazety Lubuskiej” po raz pierwszy, więc tym bardziej rozpięłam sobie radość, że otwieram listę laureatów. Bo kandydatów i w Gorzowie, i w całym województwie z pewnością było wielu. Nie ukrywam, że pojawiła się też trema, bo jako bardzo młoda zawodniczka pojawiłam się obok seniorów, często ze światowej czołówki. Na szczęście wszyscy bardzo miło mnie przyjęli.

Ta nagroda znalazła się gdzieś u pani na honorowym miejscu?

Mam w swoim pokoju taką ścianę chwały (śmiech). Plebiscytowa statuetka stanęła obok medali, które zdobyłam do tej pory. ©©

SPORT

www.sportowy24.pl

PIŁKA RĘCZNA

W 18. serii gier o mistrzostwo Ligi Centralnej Rajbud Development Stal Gorzów zagra jutro na wyjeździe z Grot Blachy Pruszyński Anilaną Łódź (początek meczu o godz. 15.00). Zespoły te rywalizowały już w tym sezonie dwukrotnie - w Pucharze Polski górą byli łodzianie (33:27), zaś w ligowym pojedynku triumfowali gorzowianie (34:28). Teraz faworytem są stalowcy, wyprzedzający rywali w tabeli o siedem pozycji.



FOT. ROBERT GORBAT

SIATKÓWKA

W 25. kolejce spotkań PLS 1. Ligi mężczyzn Karton-Pak Astra Nowa Sól zmierzy się jutro z SMS PZPS w Spale (początek meczu o godz. 18.00, jesienią 3:0 dla „Koliberków”). Stawiamy na powtórny triumf nowosolan.

Derby AZS dla Gorzowa. Zdecydowały sekundy

Robert Gorbat
rgorbat@gazetalubuska.pl

KOSZYKÓWKA. W ostatnim meczu zasadniczego sezonu Orlen Basket Ligi Kobiet przed własną publicznością gorzowianki zmierzyły się w śróde z poznaniankami. Akademickie derby przyniosły ogromne emocje i minimalną wygraną gospodyń po dramatycznej końcówce.

KSSSE Enea AJP Gorzów 86

Enea AZS Politech. Poznań 84

Kwarty: 28:22, 23:22, 17:19, 18:21.

KSSSE Enea AJP: Hurt 17, Gertchen 16 (4x3), Osborne 12 (2x3), Kloska 11 (3x3), Mikulasikova 0 oraz Szymkiewicz 10 (1x3), Owusu 9 (1x3), Telenga 6 i Lebiecka 5 (1x3).

Enea AZS Politechnika: Popović 24 (5x3), Piasecka 16 (2x3), Brown 13 (1x3), Carter 12, Psczolarska 4 oraz Kośla 6 (1x3), Hank 5 i Ut-kowska 4.

Sędziowali: Bartosz Puzoń, Tomasz Konopacki i Marta Malczewska.

Widzów: 2.150.

Na początku mieliśmy trochę sentymentalnych wspomnień, bo w barwach Enei AZS Politechniki kibice zobaczyli Emilię Koślę i Aleksandrę Psczolarską. Obydwie zdobywały w przeszłości medale z gorzo-

wiankami. Na boisku uprzejmości już nie było. W pierwszej, bardzo dynamicznej i wyrównanej połowie zawodniczki obydwu drużyn urządziły sobie prawdziwy festiwal rzutów zza linii 6,75 m. Gospodynie trafiły 7 z 11 prób, przyjezdne - 5 z 15. Takiego bombardowania „za trzy” jeszcze w tym sezonie w Gorzowie nie było!

A wynik jak wahadło - długo pokazywał 1 lub 2 „oczka” przewagi na korzyść któregoś z zespołów. Przełom nastąpił między 8 a 11 min. Miejscowe opanowały wtedy drżenie rąk w ataku, zdecydowanie wzmocniły defensywę i wygrały ten okres aż 14:0 (!). Ze stanu 18:22 zrobiło się więc 32:22. Poznanianki nie spasowały. Pchane do przodu przez Jovanę Popović i mające pod koszami bardzo skuteczną w zbiórkach Jessikę Carter zmniejszyły w 19 min swe straty do zaledwie 4 punktów (46:42). Trafienia najpierw Magdaleny Szymkiewicz, a potem - niemal równo z końcową syreną - Ashley Ann Owusu pozwoliły jednak gorzowiankom zejść na długą przerwę z bezpieczną przewagą 7 „oczka” (51:44). W Arenie Gorzów zapachniało pierwszą w rozgrywkach „setką”.



Charisma Osborne (z piłką) mija w ataku Jessikę Carter

Trzecią kwartę gospodynie zaczęły koncertowo - od zdobycia 7 punktów w rzędu. Courtney Hurt i Charisma Osborne miały wielką ochotę do gry, zaś Magdalena Kloska i Klaudia Gertchen nadal tra-

fiły „za trzy”. W 26 min przewaga KSSSE Enei AJP wzrosła do 17 punktów (68:51) i losy pojedynku wydawały się rozstrzygnięte. Myśleli tak wszyscy... oprócz poznaniank. Podopieczne trenera Wojciecha

Szawarskiego nacisnęły rywalizacji w obronie, filigranowa Malina Piasecka co chwilę przechwytywała piłkę i 4 ostatnie minuty tej części meczu przyjezdne wygrały 12:0. Na tablicy wyników pojawił się rezultat 68:63.

Mało tego! Koszykarki z grodu Przemysława były tak rozpedzone, że w 33 min doprowadziły do remisu 68:68! W końcówce meczu nic nie było już oczywiste - tym bardziej, że parkiet musiała opuścić z powodu kontuzji rozgrywająca miejscowych Osborne. W 36 min gorzowianki prowadziły 78:71, a 2 minuty później bliżej wygranej wydawały się poznanianki (79:81). Od 38 min na świetnej tablicy co chwilę „wisiał” remis, bo zawodniczki obydwu drużyn seryjnie marnowały rzuty z gry i osobiste. Wszystko rozstrzygnęło się na finiszu. 16 sekund przed końcową syreną, przy stanie 84:84, Hurt dobiła piłkę do kosza przeciwniczek po indywidualnej akcji i niecelnym rzucie Weroniki Telengi. Przyjezdne postanowiły wznowić grę na połowie gospodyń i... oddały im piłkę już przy pierwszym podaniu! Dziewczyny trenera Dariusza Maciejewskiego nie

zmarowały tej szansy. Utrzymały posiadanie do ostatniej sekundy, zapisując tym samym na swoim koncie 18. ligowe zwycięstwo w sezonie.

W ostatniej, 22. kolejce zasadniczego sezonu gorzowianki zagrają w niedzielę z SKK Polonią w Warszawie (początek meczu o godz. 17.00, w pierwszej rundzie 79:56 dla akademiczek). Warszawianki walczyły jeszcze o miejsce w play offach, lecz zdecydowanym faworytem będzie ekipa z Lubuskiego.

Pozostałe wyniki 21. kolejki: Lotto AZS UMCS Lublin - Isands Wichos Jelenia Góra 93:66, Artego Bydgoszcz - IKS Słęża Wrocław 61:88, Contimax MOSIR Bochnia - SKK Polonia Warszawa 87:81, MB Zagłębie Sosnowiec - Energa Toruń 91:67, Wisła Kraków - VBW Gdynia 68:64. **Zaległe spotkanie z 20. serii:** IKS Słęża - SKK Polonia 94:63. ©

1. KSSSE Enea AJP	21	39	1780:1406
2. Lotto AZS UMCS	21	37	1722:1507
3. IKS Słęża	21	36	1726:1415
4. Enea AZS Politechnika	21	34	1590:1502
5. MB Zagłębie	21	34	1862:1616
6. Energa	21	31	1507:1521
7. Wisła	21	30	1466:1577
8. VBW	21	30	1729:1676
9. Contimax MOSIR	21	29	1680:1813
10. SKK Polonia	21	29	1520:1689
11. Artego	21	28	1512:1737
12. Isands Wichos	21	21	1318:1953

MOIM ZDANIEM

Andrzej Flügel



No i doczekaliśmy się. Podczas weekendu rusza wiosna w trzeciej lidze, za tydzień zacznie czwarta, potem pozostali i na kilka miesięcy emocje mamy zapewnione. Nie zacznie sezonu w terminie lider naszej grupy trzeciej ligi - zielonogórska Lechia - bo jej rywal Stal Jasień najprawdopodobniej wycofa się z rozgrywek.

Oczywiście na kilka dni przed terminem sobotniego spotkania nie ma oficjalnego komunikatu i - jak to w takich sytuacjach bywa - nikt nic nie wie. Jeśli do meczu nie dojdzie, Lechia ma zagrać sparing. A w 2026 roku zadebiutuje w derbach, bowiem za tydzień ma w Gorzowie mecz z Wartą. Czeka nas, mam nadzieję, ciekawa wiosna. Pierwszy raz

W OCZEKIWANIU NA CIEKAWĄ WIOSNĘ

od wielu lat lubuski zespół ma szansę powalczenia o ligę centralną, Carina może spokojnie grać w czubie tabeli, Warcie nie zagraża spadek, więc nie będzie nerwowki. Oczywiście te wszystkie przymiarki, nadzieje i plany zweryfikuje boisko. Widziałem na własne oczy kilka razy ową weryfikację, kiedy ekipa, typowana na wiosenne sukcesy po fajnym okresie przygotowań nagle zaczęła cieniować i wszystkie plany szybko wzięły w łeb. Oby żaden z naszych trzech zespołów (liczę trzech, bo nie mam nadziei, że Stal zagra) nie musiał się z czymś podobnym zmagać.

Trzeciogłowcy ruszają, a ekstraklasa ma już za sobą miesiąc gry. Jako wieloletniego kibica przeraża mnie Legia. Miałem nadzieję, że wraz z przyjściem trenera Marka Papszuna coś się zmieni i po trzech kolejkach w 2026 roku zapomnę o fatalnej jesieni. Zmieniło się, ale tylko trochę i Legia nadal tkwi w strefie spadkowej. Jeśli taki fachowiec, jak Papszun nie daje rady, to trzeba się liczyć ze spadkiem. Tym bardziej, że władze klubu dalej robią dziwne rzeczy, sprzedając solidnego obrońcę do bezpośredniego rywala w walce o utrzymanie, czyli Widzewa. Z dru-

giej strony - skoro z ligi mogła spaść Wisła, Ruch, a wcześniej Górnik, to może spaść i Legia.

My się podniecamy tym, że trzy nasze zespoły przebrnęły fazę ligową Pucharu Konfederacji, a tymczasem mistrz Norwegii Bodo Glimt wyeliminował ostatnio Inter Mediolan z Ligi Mistrzów, awansując do 1/8 tych rozgrywek! Pomyśl, że jesienią 2021 roku Legia w eliminacjach Ligi Mistrzów bez większych problemów wywalila za burtę Norwegów, wygrywając 3:2 i 2:0. Dziś Bodo Glimt ogrywa Inter, a Legia tkwi w strefie spadkowej polskiej ekstraklasy. I muszę się cieszyć, że po dwunastu meczach bez

wygranej w końcu z wielkim trudem zdobyła trzy punkty. Czego też doczekałem...

Koszykarze Orlen Zastalu w finałowym turnieju Pucharu Polski w Sosnowcu pokonali dwóch silniejszych rywali i przegrali dopiero w decydującym meczu z Treflem Sopot. Mimo porażki nikt nie miał pretensji, bo zespół pokazał dobry basket, waleczność, zespołową grę i moc. Oprócz tego miło było słuchać fajnych opinii o grze zielonogórszan, wypowiedzianych przez komentatorów i fachowców w telewizyjnym studiu. Przecież nie zawsze tak było, szczególnie kiedy klub był bliski upadku... ©

GAZETA LUBUSKA

www.gazetalubuska.pl

Redaktor naczelna **Maja Majewska**,
Z-ca redaktor naczelnej **Mateusz Różański**,
Prezes Makroregionu **Robert Glinkowski**,
Dyrektor marketingu oddziału **Aleksandra Sobolewska**

Redakcja al. Niepodległości 25, 65-042 Zielona Góra
skr. pocztowa 120, tel. 68 32 48 600, 68 32 48 805
fax 68 32 48 872, redakcja@gazetalubuska.pl
Druk Polska Press Oddział Poligrafia
85-438 Bydgoszcz, ul. Grunwaldzka 229

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**

Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskappress.pl, tel. 12 688 85 10

